

2 i 3 kwietnia 1982 roku

W NUMERZE m. in.: Komu, ile i za co się płaci? ■ Kultura w kryzysie — szkic pióra Karola Józefa Stryjskiego ■ Motoryzacja i rozsądek ■ Poligloci Ewy Kafarskiej ■ Ci wielcy i ci mali — artykuł Henryka Sroczyńskiego o

najmniejszych państewkach świata ■ Autowywiad Stanisława Lema przypomniany po ćwierćwieczu ■ Felietony ■ Kolejny fragment „Miłości Staropolskiej” Zbigniewa Kuchowicza

obradowała w Warszawie I Ogólnopolska Konferencja Ideologiczno-Teoretyczna. W jej obradach uczestniczyło przeszło 400 osób. Wygłoszono szereg referatów, odbyły się dyskusje w czterech zespołach problemowych. Materiały z tej konferencji ukażą się w druku. Tyle podstawowych informacji. Ale warto zwrócić uwagę, że była to pierwsza taka konferencja. I nie przypadkowo odbyła się właśnie teraz, choć planowana była nieco wcześniej.

Rozwój socjalistycznej Polski może odbywać się wyłącznie pod kierunkiem marksistowsko-leninowskiej partii, która służąc klasie robotniczej, a przez to i całemu narodowi, potrafi w sposób twórczy stosować zasady naukowego socjalizmu. Tak postępować powinni nie tylko przywódcy partii, członkowie jej kierow-

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

czytaj str. 3

NUMER 2 (1255) ROK XXV 18 KWIETNIA 1982 ROKU CENA 20 ZŁ



Foto: Mirosław Zajdel

Miłość

MACIEJ JOZEF KONONOWICZ

Nie stoi u drzwi,
Nie czeka z lękiem,
Z niepewnością,
Nie poprawia włosów przed lustrem
Nim chwyci za klamkę,
Nim się odważy zapukać.
Miłość nie puka — —
Po prostu wchodzi
Znad horyzontów,
Idzie, bosa, na przelaj,
Przenika kamień, cegłę,
Przechodzi przez ogień i wodę,
Przez dzień i noc,
Przez pokój i wojnę,
Przez drut kolczasty.
Przez sztachety żeber
W środek serca.

W 70-tą rocznicę urodzin Macieja Józefa Kononowicza oraz z okazji przyznania mu tegorocznej Nagrody Literackiej m. Łodzi zespół „Odgłosów” składa Jubilatowi serdeczne gratulacje oraz życzenia wielu nowych sukcesów twórczych.

Na str. 8 publikujemy dalsze Jego wiersze, oraz szkic pióra Jana Dobraczyńskiego.

1

Kiedy plyniesz wzdłuż wybrzeży gambijskich, a także potem, kiedy statek wchodzi już do basenu portowego, masz wrażenie, jakbyś czytał „Psy wojny” Forsytha. Jeśli coś przyciąga twój wzrok, to chyba tylko pałac prezydencki, oddalony od brzoju o dwa dobre rzuty kamieniem — niski, rozległy, pokryty czerwoną dachówką, graniczący z gajem palmowym, gdzie pod osłoną strzeżonego muru szef państwa zażywa spacerów.

Sam port również przypomina „Psy wojny”. Położony w szerokim, mętym rozlewisku Gambia River (zł to koniec rzeki, ni początek oceanu), wyposażony jest nad wyraz skromnie — żadnych urządzeń portowych: doków, dźwigów, żurawii, żadnej bocznicy kolejowej, ot — dwa niewielkie magazyny i jedno kamienne, wrzynające się w akwen móło, przy którym, po obydwu stronach, mogą odbywać cumować dwa średniej wielkości frachtowce.

Ci, co bywali już w Gambii, twierdzą, że przed zamachem pojawienie się statku obcej bandery wywoływało zazwyczaj duże ożywienie. Tym razem jednak, w sennie, tropikalne popołudnie, Banjul wydawał się cichy i stłamszony. Nie przyszedł namolni waluciarze, zabrakło wesołych dziewczynek i mło-

doclanych żebraków. Murzyni z buszu, którzy oferują przyjeźdnym rzeźbione w drewnie figurki, podobnie jak kobiety murzyńskie noszące ra głowach kosze z owocami i tace z ciastkami własnego wypieku — nie mieli nawet odwagi wejść na trap.

Po nabrzeżu krążyły z powagą dwuosobowe, gambijsko-senegalskie patrole. Bracia w pokojach. Ci pierwsi w jednolitych, zielonkawych mundurach, ci drudzy w komandoskich panterkach; rozpylacz pod pachą, colt u pasa. Brama portu, jedyne wyjście do miasta, jest zamknięta. Za bramą, czepiając ręce o drucianą siatkę, czeka chmara bezrobotnych, każdy z nadzieją, że właśnie jemu zaświeci szczęście.

Nikt nie tańczy. Nikt nie śpiewa. Kiedy już mijasz bramę, bo biała twarz wystarcza zwykle w Afryce za paszport, i wchodzisz w żar słonecznej ulicy, stykasz się z nędzą, o jakiej nawet nie miałeś pojęcia. Za dom, jedyną ochronę przed słońcem i deszczem, służą tutaj strupieszale ciężarówki o wysokich podwoziach. W szoferkach bez drzwi i pod platformami koczują całe rodziny — mężczyźni śpią ra rozłożonych papierach, albo grają w karty, bez pieniędzy, a więc i bez napięcia, które zwykle łączy się z hazardem; kobiety dają piersi niemowlętom albo pichca coś w oblatkach z emalii naczynek, dzieci, jak dzieci! szarpia się za poskręcane w pierścionki włosy, bądź tarzają w pyłe drogi i jest im wesoło, choć gdzieś tam, na strócie, stary, schoro-

Upalny dzień w Banjulu

(Korespondencja z Gambii)

ANDRZEJ MAKOWIECKI

wany krewniak dożywa bez protestu swych dni.

W drodze do centrum, które jest zresztą o krok, krajobraz nie ulega naczyniczym zmianom; nędza zostaje ta sama, aczkolwiek w miejsce zamieszkałych wraków pojawiają się zamieszkałe rudery, sklecone nieraz, jak w obozie palestyńskim, z tektury i blachy. Nie ma sklepów, nie ma kiosków, nie ma gazet. Na gliniastych podwórkach suszą się jakieś szmaty. W budzie bez okien, która pełni funkcję szkoły biała zakonnica prowadzi lekcję rachunków, a uczniowie siedzą w kucki na gołej polepie. Mały chłopiec z przepukliną brzuszna; knykiem wyrastającym wprost z pepka, próbuje wypucować ci buty. Kilku innych wyrostków wależy na wypródkli, aby zostać twoim przewodnikiem.

Ale w stołecznym Banjulu niewiele jest do zwiedzania.

Kwadratowe, głębokie na metr rynszolki, pokryte szerokimi płytami z czerwonego betonu; tu i tam brakuje płyty i wówczas ukazują się treści. W sumie jednak rynszolki są pożyteczne — stąpasz po nich jak po chodniku i wchodzisz tak do dzielnic dyplomatów.

Najokazalszą ambasadę mają Chińczycy; radziecka zawieruszyła się gdzieś, amerykańska zajmuje trzecie piętro w białym, odrapanym domu z opancerzonymi oknami; w ulicznej gablocie, za szyba lepka od brudu, widać zóółkie, pozawijane na rogach zdjęcie Reagana. O innych ambasadach, chociaż jest

czytaj str. 11

Jak w tym roku spędzimy urlop?

G. ULMAN: — Na ten sezon letni przygotowaliśmy około 5 tys. miejsc w atrakcyjnych miejscowościach: w górach, nad morzem i nad jeziorami. Wśród nich część stanowią wczasy typu pobytowego, pozostałe natomiast to wczasy wędrownie, często ukierunkowane: górskie, kajakowe, żeglarskie. Jest to ilość utrzymująca się mniej więcej na poziomie ub. roku, kiedy to z naszych ofert skorzystało około 6 tys. osób, z czego połowę stanowili odbiorcy indywidualni.

Nie posiadamy jeszcze szczegółowych informacji o terminach rozpoczęcia turnusów, trasach, itp. Tymi danymi powinniśmy dysponować w połowie kwietnia. Zwykle były one znane już w marcu. W roku bieżącym, z uwagi na zmianę cen, porozumienia z jesieni przestały być aktualne, trzeba ustalać wszystko na nowo.

— Czy znane są już — wstępne chociażby — informacje o cenach wczasów?

G. ULMAN: — Orientacyjnie koszt pobytu kształtować się będzie około 6-8 tys. złotych na osobę.

P. WOJCIECHOWSKI: — Dużo to czy mało? My jesteśmy w głównej mierze pośrednikami. Nie mamy uprawnień do bezpośredniego organizowania wczasów w rejonach pozalądskich, a więc tych, które najbardziej interesują naszych klientów. Patent i właściwie monopol w tych sprawach mają wojewódzkie przedsiębiorstwa turystyczne. My pośredniczymy między nimi, a zgłaszającym się do nas klientem. I dlatego właściwie nie mamy wpływu na cenę, lub tylko bardzo niewielki, bowiem marża, jaką pobieramy z tytułu świadczonych usług była — i pozostała — niewielka. Dzielimy się nią zresztą z przedsiębiorstwami wojewódzkimi.

G. ULMAN: — Jeśli chodzi o ceny — chciałbym podkreślić taką rzecz: niedawno w telewizji usłyszałem wypowiedź któregoś z dyrektorów WPT, moim zdaniem niezbyt etyczna, porównywał on ubiegłoroczne i tegoroczne koszty, przy czym wyszło mu, że wzrastały o około 15 proc. Ale podawał jako przykład ceny kwater I kategorii z lat ubiegłych oraz IV kategorii aktualnie obowiązujące. Różnice w cenach są tu dość istotne. Gdyby porównać ceny między tymi samymi kategoriami, wzrost kosztów wyniósłby nie 15, lecz około 100 proc. Podkreślam to, ponieważ staramy się mieć zawsze z naszymi klientami rzetelne układy handlowe.

— A więc, przy planowanych na ten sezon cenach, koszt pobytu na wczasach dość typowej rodziny — małżeństwa z dwójgim dziećmi — przekraczałby 24 tys. zł. Przy czym jest to cena samego pobytu, do czego dochodzą przecież koszty przejazdu, niezbędne dodatkowe wydatki na miejscu. Co na to załogi zakładów pracy? Jaka część pracowników stać będzie na zapłacenie takiej sumy za dwa tygodnie wycieczki?

W. MARZYŃSKI: — Musimy nareszcie zacząć przyzwyczajać się do jednego: pieniądź ma pewną wartość i znając ją, musimy przemyśleć się do tego, na co nas stać. Z PTTK padają sumy — wczasowicz może wyjechać za 4 tys. zł i za 24 tys. zł. Z tym, że powinien zdawać sobie sprawę z faktu, że za tę najniższą o-

W góry czy nad morze, z plecakiem, „pod gruszę” czy do luksusowego ośrodka? A może w tym roku przyjdzie nam spędzić urlop we własnym mieszkaniu, wyjeżdżając jedynie do zaśmieconego podmiejskiego lasu? Do wakacyjnych miesięcy — tradycyjnego urlopowego szczytu — pozostało jeszcze tyle tygodni, że pytania te nie spędzają snu z powiek przeciętnemu amatorowi wyjazdu. Dla organizatorów wypoczynku natomiast czasu pozostało niewiele. Zarówno w specjalistycznych jednostkach, zajmujących się organizacją turystyki i wypoczynku, jak i w działach socjalnych zakładów pracy powinno być wiadomo — dokąd, ile i za ile? Czy tak jest rzeczywiście? Do udziału w dyskusji na ten temat zaprosiliśmy przedstawicieli instytucji i komórek odpowiedzialnych za nasz wypoczynek. Uczestniczyli w niej kierownicy komórek socjalnych kilku dużych zakładów pracy: **LIDIA ULZAŃSKA** — ZPB im. Obrońców Pokoju, **TADEUSZ KACZMAREK** — Fabryka Szlifierek „Ponar — Jotes”, **BOGDAN WIERTLEWSKI** — ZPB im. J. Marchlewskiego oraz **GRZEGORZ ULMAN** — prezes i **PRZEMYSŁAW WOJCIECHOWSKI** sekretarz Oddziału Łódzkiego PTTK, a także **WOJCIECH MARZYŃSKI** — właściciel jednego w Polsce Prywatnego Biura Podróży, Turystyki i Wypoczynku.

płatę nie może żądać pokoju dwuosobowego z łazienką i śniadaniem do łóżka. Może natomiast liczyć na domki campingowe i wyżywienie w restauracji GS III kategorii. Może również dostać pokój w wiosce letniskowej, z solidnym, pamiętającym prababcę dębowym łóżkiem — ale z ubikacją poza domem.

W turystyce, podobnie jak w innych dziedzinach gospodarki, trzeba zerwać ze schematycznym myśleniem i zacząć różnicować, co się chce i za ile — i co za posiadane pieniądze można dostać. Po prostu turystyka w Polsce musi stać się, i będzie, turystyką nową. I tu chyba duża rola dla prasy, aby fakt tych zmian szybciej i w zrozumiałej formie dotarł do świadomości społeczeństwa. Zakłady pracy natomiast z funduszu socjalnego będą finansowały tych, którzy nie będą mogli pozwolić sobie nawet na najtańszy pobyt, w skromnych warunkach.

Wydaje mi się, że wokół wypoczynku robi się za dużo szumu. Nie ma co płakać nad tymi, którzy już teraz placą kilkanaście tysięcy za wczasy. Widocznie ich na to stać. A wypoczynek droższy lub tańszy (ale i w skromniejszych warunkach) może być również atrakcyjny. Jeżdżenie na nartach polskich za 1200 zł czy na austriackich za 25 tys. to jest naprawdę taka sama przyjemność.

T. KACZMAREK: — Wczasy, o jakich pan mówi, przeznaczone są dla wybranej grupy ludzi. A przecież nie o to chodzi. My, w zakładach pracy, musimy zapewnić wypoczynek wszystkim pracownikom. W związku z tym trzeba stworzyć

takie warunki, aby każdy — bez względu na zarobki — mógł sobie na ten dwutygodniowy wyjazd pozwolić.

W. MARZYŃSKI: — Absolutnie się z tym zgadzam. Ale istnieje przecież coś takiego, jak fundusz socjalny i tym funduszem powinniście obsłużyć nie dyrektora, ale tych, którzy mają najmniejszy dochód na osobę. I żeby fundusz ten wystarczył dla wszystkich potrzebujących, trzeba będzie chyba rozliczać go tak, jak powinien być rozliczany, wykorzystywać na naprawdę właściwe cele.

W 1972 roku prowadziłem badania w atrakcyjnym ośrodku jednego z zakładów, gdzie cena skierowania wynosiła nieco ponad 1000 zł, podczas gdy faktyczny koszt pobytu przekraczał 3 tysiące. Dziś mam ponad 30 ofert z różnych zakładów, aby przejąć ośrodki, bo sobie finansowo rady nie dają. Zamiastłożyć na remonty, eksploatację, transport, płace personelu itp. — bardziej opłacalne jest dla tych zakładów wykupienie skierowania — nawet za 6 tysięcy — w specjalistycznym biurze. Starczy wtedy na dofinansowanie większej ilości pracowników.

Polityka gospodarowania funduszem socjalnym powinna być prowadzona tak, aby umożliwić połowie załogi — ludziom gorzej zarabiającym — wyjazd na wczasy i wypoczynek.

Z drugiej strony — rozmawiałem z przedstawicielami zakładów, którym proponowałem: ponieważ stoicie kiepsko z funduszem socjalnym, weźcie skierowania tylko z obiadem, pracownik zapłaci nie 2 tys., ale 1500 zł. Nie zgodzili się, bo

„co by na to ludzie powiedzieli”.

P. WOJCIECHOWSKI: — Idąc za ciosem: która rada zakładowa czy komórka socjalna zechce skorzystać z wczasów, jakie wielokrotnie proponowaliśmy, np. namiotowe, z własną kuchnią? Wychodzi to — przy obecnych cenach — najdrożej 1500-2000 zł. Niestety, nawet tam, gdzie działają duże koła PTTK, nie udaje się takiej formy spopularyzować.

W latach pięćdziesiątych, gdy instytucja wczasów zaczęła dopiero funkcjonować, ludzie byli zmuszani do wyjazdu niemal pod groźbą kary. Teraz przywykliśmy i doszliśmy do paradoksalnej sytuacji: powszechnego przekonania, że wszyscy muszą wyjechać; wczasy (czy wycieczka) muszą być tanie.

L. ULZAŃSKA: — O gospodarowaniu funduszem socjalnym — chciałabym to przypomnieć — decydują pewne przepisy. Przecież na ten fundusz składają się nie tylko wczasy i wycieczki, ale także żłobki, przedszkola, stołówki i wiele innych rzeczy, także niezbędnych dla załogi. Zarzut, że fundusz ten jest rozdrobniony i dlatego brakuje na dofinansowanie wczasów, wydaje mi się bezpodstawny.

W. MARZYŃSKI: — Wprowadźmy więc w Polsce — a jest to postulat, który podnoszę nie tylko ja, od wielu już lat i przy każdej okazji — tzw. odpis funduszu socjalnego, podobnie jak jest np. w Czechosłowacji. Każdy ma swoją książeczkę i dowolnie dysponuje uwidocznioną na niej sumą — jedzie do Grójca dopłacając 500 zł, lub na Hawaje,

jeśli może dołożyć do przypadającego na niego np. tysiąca złotych — dalsze 99 tysięcy. Wysokość owego odpisu powinna być zróżnicowana, w zależności od zarobków czy dochodów na członka rodziny.

G. ULMAN: — Najważniejsze — abyśmy sobie wszyscy zdali sprawę, że jesteśmy w stosunku do lat ubiegłych społeczeństwem uboższym. W związku z tym — albo zrezygnujemy ze standardu usług i będzie to kosztowało taniej, albo też zachowamy standard przy wyższych cenach, godząc się ewentualnie na zmniejszenie ilości odbiorców.

Jako działacz turystyczny propaguję turystykę kwalifikowaną. Jest to turystyka poszerzona o pewne elementy poznawcze, dostępna dla ludzi o bardzo różnej, także niewielkiej sprawności fizycznej. Są to formy bardziej wychowawcze, przyjemniejsze i — co ważne — dużo tańsze od tradycyjnego pobytu w domu wczasowym. Niestety, niepopularne.

T. KACZMAREK: — Wydaje mi się, że decydując się na 2-tygodniowy wyjazd, ludzie oczekują po prostu biernego odpoczynku. Pracując cały rok, chcą oderwać się na ten czas od koledek, gotowania, chcą po prostu, aby ich obsłużono w dobrych warunkach. Jeszcze dwa lata temu organizowaliśmy wczasy w przyczepach samochodowych. Zrezygnowaliśmy, bo po prostu nie było chętnych.

Twierdzą jednak, że podstawową sprawą nie jest propagowanie różnorodnych — lepszych i gorszych, droższych i tańszych form wypoczynku, lecz uregulowanie spraw zwią-

zanych z funduszem socjalnym. Od 1974 roku nie uległ on zmianie. Jaka była jego wysokość — taka jest, a tymczasem koszty świadczeń wzrastały kilkakrotnie i niepomiarnie.

Nie ma możliwości poszerzenia świadczonych usług, przeciwnie, trzeba się liczyć ze zmniejszeniem ilości ludzi tymi świadczeniami objętych. Dla przykładu: w naszym zakładzie planujemy na bieżący sezon o około 200 skierowań na wczasy mniej, i to przy różnorodnych zabiegach: wymianie z innymi ośrodkami zakładowymi, sprzedaży miejsc we własnych obiektach. Jak co roku — opracowaliśmy program działalności socjalnej i — skromnie licząc, określiliśmy koszt skierowania dla jednej osoby na około 6,5 tys. złotych dla „obcych”. W przypadku własnego pracownika będzie on około 15 proc. niższy.

L. ULZAŃSKA: — Zwykle na ośmiotysięczną załogę mieliśmy 4 tys. miejsc wczasowych — w ośrodku własnym i innych. W roku ubiegłym sytuacja była nietypowa. Na 3,5 tys. miejsc wykorzystaliśmy tylko 2,8 tys. Ludzie nie chcieli wyjeżdżać z uwagi na napiętą sytuację w kraju. Na ten rok planujemy 3.200 miejsc, pochodzących, jak poprzednio, z różnych źródeł. Jeśli będzie więcej chętnych — podziałem zajmie się komórka socjalno-bytowa, zresztą nadal obowiązuje zasada, że przy niedostatku miejsc dla wszystkich pracownik może skorzystać ze skierowania co drugi rok. Ale — nasz ośrodek w Dźwirzynie jest I kategorii. Koszt jednego skierowania — około 8,5 tys. złotych — nie jest jeszcze zatwierdzony przez radę konsultacyjną, dyrektora. Oczywiście, pracownik, będzie płacił mniej: od 1 do 3 tysięcy zł, reszta pójdzie z funduszu socjalnego. Mimo to istnieją obawy czy załoga to zaakceptuje.

Kłopot polega na tym, że wszyscy — nie tylko rodziny z dziećmi w wieku szkolnym — przyzwyczaili się wypoczywać tylko latem i tylko nad morzem. Stąd trudności z jednej strony z obsłużeniem wszystkich chętnych, z drugiej — z upowszechnieniem innych, może atrakcyjniejszych i tańszych form wypoczynku, choćby takich, jak proponuje PTTK.

W. MARZYŃSKI: — Aby upowszechnić bardziej różnorodną, a więc i dostępną dla większej liczby osób formy wypoczynku, działy socjalne zakładów pracy powinny stać się biurami podróży. Organizacja wypoczynku załóg nie może być traktowana — jak dzieje się to obecnie — tak samo, jak sprzedaż marchewki czy dowóz węgla na zimę. Istnieje w tej dziedzinie dobry przykład. Aby nie sięgać do rozwiązań stosowanych za granicą — w podwarszawskim „Urussie” organizację wypoczynku powierzono zawodowej jednostce, działającej pod egidą PTTK. I nie ma chyba w Polsce drugiego zakładu, w którym sprawy te byłyby równie dobrze rozwiązywane.

Ja nie mogę dać sobie rady z obsłużeniem wszystkich klientów, bo traktuję ich indywidualnie. Działy socjalne natomiast nie mają na to — w obecnej swojej formie — ani czasu, ani możliwości. Po prostu: są skierowania, ktoś bierze albo nie i do widzenia. W tej sytuacji trudno się dziwić, że nie ma mowy o propagowaniu innych form wypoczynku, zaspokajaniu rzeczywistych potrzeb.



GRZEGORZ ULMAN



TADEUSZ KACZMAREK



PRZEMYSŁAW WOJCIECHOWSKI



LIDIA ULZAŃSKA



BOGDAN WIERTLEWSKI



WOJCIECH MARZYŃSKI

Kraina mlekiem i miodem płynąca...

EUGENIUSZ IWANICKI

Od czego zależy, by na naszych stołach nie zabrakło chleba? Czy będzie czym ten chleb omaścić? Czy warzywa i owoce nie staną się rarytasem na wzór owoców cytrusowych? Co czeka nasze rolnictwo w najbliższych latach? — z tymi i podobnymi pytaniami zwróciłem się do dyrektora Zespołu Szkół Rolniczych w Ostrowie, pełniącego jednocześnie funkcję przewodniczącego Komisji Rolnej KW PZPR w Sieradzu, mgr ZYGMUNTA FORNALIKA.

Te pytania stawialiśmy sobie co najmniej od trzydziestu paru lat. I zawsze były one aktualne. Niestety, nikt jakoś nie kwapił się, by nam na nie odpowiedzieć. Dlatego też dzisiaj nabrały one szczególnej ostrości i wagi. Albo będziemy jeść własny chleb, albo — jak dotychczas — będziemy sprowadzać zboże z zagranicy. Na ostatniej konferencji prasowej minister rolnictwa i gospodarki żywnościowej, Jerzy Wojtecki, powiedział, że mamy za ledwie 120 tys. ton zboża przeznaczanego na tegoroczny wyśiew, a potrzeby rolnictwa sięgają 220 tysięcy ton. Jedyny ratunek to wymiana pomiędzy rolnikami. Sąsiad musi pożyczyc sąsiadowi. Nie lepiej wygląda sprawa pozostających nasion: z Afganistanu, Iranu i innych krajów sprowadzamy rośliny motylkowe oraz warzywa (marchew, cebule). Ale na to pójdą dewizy tak potrzebne na co innego. Nie wystarczy także nawozów. Planowano, że na 1 ha wysieje się 191 kg, a według obliczeń będzie za ledwie 181 kg. Nie ma także środków ochrony roślin, choć za niebagatelną sumę 80 milionów dolarów kupimy pestycydy i preparaty grzybobójcze. Kogo za to winię?

Według mojego głębokiego przekonania całe zło, które dotknęło nasze rolnictwo, leży w błędnym kształceniu kadr. Chwilami wyglądało to tak, jakby budowniczość rozpoczynali wznoszenie gmachu od montowania belek stropowych, zapominając, że w pierwej należy położyć fundamenty. Ktoś może powiedzieć, że przecież w Polsce zawsze kształcono fachowców, zarówno w wyższych szkołach gospodarstwa wiejskiego, jak i w różnych technikach i szkołach zasadniczych. To prawda, ale nigdy jakoś nie zadano, by ci ludzie posiadli umiejętności praktyczne. Owszem, poznali przyswoili wiele założeń teoretycznych, ale zdarzało się, że taki absolwent ani razu nie jeździł traktorem, nie dotykał snopowiązalki. Stąd absolwenci szkół rolniczych bardzo chętnie zajmowali etaty w administracji, rzadziej — rozpoczynali pracę w gospodarstwie. Najlepiej zilustruję to na przykładzie Zespołu Szkół Rolniczych w Ostrowie, gdzie jestem dyrektorem.

Władze zalecają mi przygotowanie młodzieży, by mogła w przyszłości przejąć gospodarstwa po swoich rodzicach. Zalecają by młodzież też przygotować na wysokim poziomie. Tylko nikt mnie nie pyta, czy mam na to warunki. Naciski mam z trzech stron: z jednej Ministerstwo Rolnictwa, z drugiej — rodzice, z trzeciej — sama młodzież. Miotam się więc w tym trójkącie, robię co mogę, sztukuję, latam, naciagam. W sumie wychodzą ode mnie ludzie przygotowani, ale tak naprawdę, to czuję, że mogłoby być dużo lepiej. Gdybym na przykład miał nowy internat, więcej mieszkań dla nauczycieli, odpowiednio pomoce naukowe — mógłbym wówczas powiedzieć, że wychodzą ode mnie fachowcy z prawdziwego zdarzenia. Gdyby w moim internacie zamiast 164 miejsc było bodaj 320, wówczas mógłbym przyjąć do szkoły 800 osób. I ludzie nie mówiliby, że Fornalik odsyła ich dzieci z kwitkiem. Zawsze jest tak, że na 1 miejsce mam 3 chętnych, choć dwójka nie przyjętych,

ktoś wraca do domu, wcale nie jest siabiej przygotowany, lub nie zdała egzaminu wstępnego. Po prostu stosuje kryteria odległościowe. Dziwi to pana? Wyjaśniam: wolę przyjąć dziecko, które mieszka w pobliżu, bo ono może dochodzić na zajęcia. Natomiast dzieci z Wielunia czy Poddębic są niejako dyskryminowane przez samą odległość: niemożliwością jest, by codziennie dojeżdżały, lub dochodziły do szkoły. Jest to gorzka prawda, ale prawda. Dodatkowym utrudnieniem, rzutującym na przyjęcie do szkoły, są wolne soboty. W rolnictwie nie ma dni wolnych od pracy, a u nas nie ma przerw w zajęciach. Krowę czy konia nie obchodzi żadne dni wolne, one po prostu chcą jeść. A w wolne soboty PKS ogranicza kursowanie autobusów i część uczniów w tych dniach nie dociera na lekcje. Więc pytam, kto ma rozwiązać ten — zdawałoby się — błąd? Ziemni się nie oszuka, prac rolnych nie odłoży się na potem, nie zastąpi się rzetelnej wiedzy przywlekanymi zaświadczeniami, że w tych i tych dniach nie kursowały autobusy PKS i dlatego uczniowie nie nauczyli się, jak się obchodzić z uprawami szklarniowymi lub hodowlą bydła mlecznego.

Inna sprawa: nauczyciele. Jest ich u nas w tej chwili 23, brakuje mi 5, bo nie mam dla nich mieszkań. Proszę mi powiedzieć, kto się zgodzi codziennie dojeżdżać kilkadziesiąt kilometrów, by zarobić to, co może bez trudu otrzymać na miejscu w innych placówkach oświatowych? Tu, w Ostrowie, na istniejące 28 mieszkań, średni standard posiada za ledwie 5, a z 12 należałoby natychmiast wykwaterować ludzi (w tej sprawie mam nawet zalecenie komisji san.-epid.) Więc co dalej? Czy pozwolimy, by odeszli dobrzy fachowcy, pedagodzy z wieloletnim stażem? Gdyby nasza szkoła mieściła się w mieście, można byłoby starać się o mieszkania spółdzielcze. Na wsi nie ma spółdzielni. Co dalej? Istniejący tzw. pałacyk, w którym mieści się internat dla technikum zaoicznego oraz 4 mieszkania, może w każdej chwili zacząć się walić. Niestety, nie mam kredytów na remont kapitałny. Wieloletnie starania w Urzędzie Wojewódzkim w Sieradzu spełży na niczym, choć sam Urząd wznosi w centrum Sieradza 11-piętrowy biurowiec.

Cztery lata wstecz powołano Wojewódzkie Ośrodki Postępu Rolniczego. Była to decyzja przedwczesna, bo zawsze brakowało środków produkcji i sprzętu rolniczego. Powołanie WOPR było kosztowne i niepotrzebne. Ale skoro już powstał taki twór, trzeba było coś z nim zrobić. A więc w pierwszym rządzie zabrano od nas, to znaczy ze wszystkich szkół typu rolniczego, gospodarstwa pomocnicze. Powstał nieopisany bałagan. Szkoły jako takie przekazano resortowi oświaty, a gospodarstwa pozostały w gestii Ministerstwa Rolnictwa. Tak więc zostaliśmy skazani wyłącznie na kształcenie teoretyczne. Przedtem, kiedy te gospodarstwa należały do szkół, prowadziliśmy w nich wielokierunkową produkcję, co umożliwiało uczniom odbycie zajęć praktycznych i praktyk sezonowych pod okiem nauczycieli. WOPR, gdy tylko przejął te gospo-

darstwa, natychmiast zlikwidował w nich dział szkółkarski, ograniczył produkcję warzyw i kwiatów do kilku gatunków. dział hodowli zawężono jedynie do bydła mlecznego, itp. Była to całkowita katastrofa. Dopiero w lutym br. gospodarstwa rolne przywrócono ponownie szkołom, choć nadal obowiązują w nich układy zbiorowy Państwowych Gospodarstw Rolnych. Z praktycznego punktu widzenia należałoby pomocnicze gospodarstwa tego typu przejąć na status warsztatów szkolnych (mam na myśli gospodarstwa w Ostrowie, Wojsławicach, Lututowie), co umożliwiłoby rozszerzenie profilu produkcyjnego. Bowiem, skoro w tych gospodarstwach zostały uprzednio zainstalowane, lub ograniczone określone kierunki produkcji, to jak ja mogę nauczyć swoją młodzież hodowli drobiu lub trzody chlewnej, jak nauczę uprawy drzew owocowych? Więc rodzi się pytanie: czy zmieniając strukturę organizacyjną szkolnictwa rolnego, nie popełniono kolejnych błędów, które będziemy musieli kiedyś ogromnymi kosztami naprawiać?

Gospodarstwa i szkoły na obecnym etapie posiadają bardzo skromny park maszynowy dla potrzeb niezbędnych prac produkcyjnych, natomiast jak ma uczeń nauczyć się orki, siewu, oprysków roślin, kiedy na grupę 40 uczniów przypada i plug, ciągnik, siewnik i opryskiwacz? Praktycznie uczeń szkoły rolniczej może takiemu sprzętowi jedynie przyrzec się z daleka. Toteż chodzi o to, by w obecnej sytuacji, szkolne gospodarstwa mogły przynajmniej dorównać indywidualnym gospodarstwom chłopskim, prowadzącym wysoką produkcję towarową. Dopiero wówczas będziemy mogli mówić, że ze szkoły rolniczej wychodzą dobrzy fachowcy, którzy bez ryzyka podejmą pracę w rolnictwie.

W ostatnich latach budowano obiekty inwentarskie w SKR i niektórych SPR, nie mających zgola gruntów do prowadzenia jakiejkolwiek produkcji pasz. Natomiast w gospodarstwach szkolnych na każde 100 ha ziemi była wykorzystywana za ledwie połowa zatrudnionych tam ludzi. Paradoxs polega na tym, że SKR i SPR mają budynki, ale nie posiadają ziemi i ludzi, w szkołach rolniczych są natomiast ludzie i jest ziemia, a nie ma budynków gospodarskich. Jest to absurd, wiem, ale póki czas należałoby przyrzec się zwiezionym do SKR i SPR materiałom budowlanym i ewentualnie przekazać je na potrzeby gospodarstw szkolnych. Dziś w SKR i SPR nadal wznosi się budynki inwentarskie, choć nikt już nie pamięta dla jakich celów to się robi, ani kto wydał taki nakaz.

Tak więc rolnictwo wymaga uporządkowania: od fundamentów, którymi są szkoły rolnicze, przygotowujące kadry. Obecnie całość nauczania przejęło ponownie Ministerstwo Rolnictwa i rozpoczęło zmusną pracę usuwania wieloletnich zaniedbań. Sądzę, że musi minąć co najmniej 5 lat, aż wychodząca od nas młodzież zamiast przeć do stanowisk w urzędach, zacnie osiadać w gospodarstwach. Rolnictwo wymaga podjęcia radykalnych, kompleksowych decyzji w tej mierze.

Utarło się przekonanie, że dziecko wiejskie jest lepiej sytuowane, niż dziecko miejskie (chłop siedzi na zbożu, zarzyna cielaki i kury, zbija majątek, itp.). Dlatego też akcja stypendialna w naszym przypadku jest znikoma, obejmuje za ledwie 20 proc. wszystkich dzieci. Otóż chcę powiedzieć, że do moich szkół przychodzi nieraz młodzież naprawdę uboga. Często nie mają odpowiednich ubrań i obuwi. Zdarza się, i to często, że nasz komitet rodzicielski ze swoich składek zmuszony jest kupować dla tych dzieci buty, ubrania i płaszcz. Nie mówię tego dla wywołania efektu, taka jest prawda o dzieciach ze wsi. To propaganda głosiła o wielkim dobrobycie, o zamożności, czy też o zrównaniu wsi z miastem. Dyskryminacja młodzieży wiejskiej jest częstsza, niż się to wydaje. Ze wszystkich typów szkół zasadniczych jedynie młodzież szkół rolniczych nie ma prawa do odzieży roboczej. A ja w żadnych przepisach bhp nie znalazłem zapisu mówiącego, że pracujący człowiek może być pozbawiony ubrania roboczego. Inna sprawa: niegdyś, w mojej szkole, uczeń mógł otrzymać prawo jazdy nie tylko na ciągnik, ale na samochód i motocykl. Przed paru laty zabrano nam tę możliwość, wychodząc z założenia, że rolnikowi, skoro mieszka na wsi, musi wystarczyć ciągnik.

Nieprawidłowości w rolnictwie nie można jednak ograniczyć do sprawy kształcenia kadr. Rolnictwo w ogóle miało u nas niską rangę. Był to zawód gorszej kategorii. Nikt go nie doceniał, nawet władza. Dziś niewiele się zmieniło. Rozmawiałem ostatnio ze swoimi absolwentami, gospodarującymi na terenie gmin Woździejady i Szadek. Mówią mi, że w urzędach i gminach są nadal traktowani nie jako współpracownicy i producenci, lecz jak ktoś, kto przeszkadza urzędnikom.

Nie jeden raz, na różnych etapach, mówiono o „zielonym świetle” dla rolnictwa. Dziś, chłop, kiedy im ponownie przypomina się to światło, mówi, że jakoś ciągle widza „czerwone”, że jeśli zapali się bodaj „żółte”, wówczas zaczną wierzyć w słowa. Oto najbliższy przykład: przywozi chłop spod Błaszek syna do mojej szkoły, bo sam już jest stary i niedługo trzeba będzie ziemię przekazać w młode ręce. A ja mu na to, że rozumie, ale chłopaka nie przyjmę. Nie mam dla niego miejsca w internacie. Chłop patrzy, kęci głową i nic nie mówi. Jakże to tak — mówi — szkoła jest państwowa, nauczenie bezpłatne, syn ma dobre świadectwo, kraj potrzebuje chleba i mięsa, a ja mu odmawiam. Więc ponownie tłumaczę co i jak, chcę, by zrozumiał, że jego syn nie będzie miał gdzie mieszkać, że nasz internat jest przepelniony, że w pokojach 2-osobowych stoi 6 łóżek i do tego piętrowych, że nie mamy odpowiednich szatni, że kuchnie ledwo nadają z produkowaniem posiłków, że nie ma magazynów na żywność, itp. A chłop wysuwa argument, że władza jest ludowa, a on jest reprezentantem ludu, a do tego wszystkiego rząd obiecał pomoc rolnikom i zapalił „zielone światło”... I tak rozmawiamy kilka godzin — on swoje, ja swoje. Odjechał w przekonaniu, że jestem łobuz i bez lapówki nie ma do mnie po co przyjeżdżać. W tym roku nie będzie łatwiej, jeszcze nie rozpoczęliśmy przyjęć, a już są telefony, wizyty, chłopów, listy, prośby, podania...

Co może dyrektor takiej szkoły, jak ta? Bardzo mało, choć niektórym się zdaje, że skoro przygotowuje kadry dla rolnictwa, mogą dla tych kadr zapewnić w przyszłości zarówno środki do produkcji żywności, jak i samą produkcję. Przyjeżdżają do mnie absolwenci, nieraz z bardzo odległych wiosek i pytają: panie dyrektorze, po co pan nas uczył? Przecież teoria nie pokrywa się z praktyką. Wróciłem na swoje, chcę gospodarzyć zgodnie z wymogami współczesnego rolnictwa, a gdy pytam o nawozy lub maszyny, w urzędach zaczynają się śmiać. Więc pytam: co dalej? Rozwozić obornik, stosować płodozmian i orać jednym konikiem? Mam uprawiać 15 ha ziemi tym samym sposobem, jakim uprawiał mój ojciec swoje 3 ha? I co mam odpowiedzieć takiemu? Wstawię drętą mowę o przejściowych trudnościach, o błędach popełnionych przez te wszystkie lata w stosunku do rolnictwa, czy może powtórzyć cykl wykładów z ekonomii? On chce konkretnie: nawozów, traktora, siewnika, kombajna, koparkę. A w miejskim sklepie nie ma zwykłego łańcucha do wiązania krów, nie ma łopat, wiader cynkowych, a jak pojawiają się kosi, to są tak miękkie, że można związać je w trąbkę.

Często spotykam się z zarzutem, że moja odpowiedzialność jako dyrektora zespołu szkół rolniczych jest mniejsza, od odpowiedzialności dyrektora np. zespołu szkół mechanicznych czy liceum ogólnokształcącego. Nieraz słyszę: „Ty masz dobrze, jak nie urodzi w jednym roku, to urodzi w następnym. No i zawsze możesz zwalić winę na nie sprzyjające warunki atmosferyczne”. A mnie się wydaje, że proporcje są inne, że ranga dobrego gospodarowania na ziemi jest nie mniej ważna, a może nawet wyższa od wielu innych umiejętności. W zależności od tego, co z mojej szkoły wyniesie chłopiec czy dziewczyna, w przyszłości za leżeć będą plony. Nie, ja nie oskarżam systemu agrarnego, ja jedynie ubolewam, że przez te trzydzieści parę lat oszukiwano nas i wodzono po manowcach. Tak, tak, mnie także oszukano, bo gdy studiowałem rolnictwo, wierzyłem, że z tego kraju zrobimy kiedyś krajem miodem i mlekiem płynącą. Potem powtarzałem przez parę lat to samo moim uczniom. A teraz wstyd mi czasem spojrzeć w oczy absolwentom, którzy przyjeżdżają, by zapytać, co dalej, panie dyrektorze?

Pejzaże

STANISŁAW CZEKALSKI



Kultura w kryzysie

KAROL JÓZEF STRYJSKI

we wspomnianym już dokumencie programowym sformułował m. in. następujące tezy:

„Kultura, oświata i nauka stanowią równocześnie cel i siłę rozwojową socjalizmu”. Zadania w tych dziedzinach społecznej aktywności „mają wspólny fundament programowy — są nim humanistyczne cele socjalizmu”. Stąd też uznano, że „konieczne jest obecnie powstrzymanie spadku realnych nakładów na kulturę, oświatę i naukę z budżetu państwa oraz zapewnienie w bliskiej perspektywie zdecydowanego ich wzrostu”.

Chciałbym w tym miejscu przypomnieć, że polityka w ogóle, zaś socjalistyczna w szczególności, to m. in. preferencja celów. Jest to zarówno wybór celów bieżących, które silnie determinowane są stanem państwa, społeczeństwa i poziomu bazy ekonomicznej, jak również celów perspektywicznych. Nie może być tak, aby w realnej perspektywie istniały sprzeczności między tymi dwiema grupami celów. Kłopoty, uciążliwości, a nawet niepowodzenia dnia dzisiejszego, nie mogą przystąpić nam świadomości tego, że socjalizm to nie budowa rzeczy, lecz tworzenie coraz lepszych warunków życia ludzi. To tworzenie warunków sprzyjających wszechstronnemu rozwojowi jednostki i społeczeństwa.

Stąd też nieodzownym jest przykrycie przykrą koldrą naszych możliwości, również potrzeb szeroko pojmowanej kultury. Nie jest to wbrew pozorom postulat elitarny, załatwiający potrzeby jakiegoś jednego środowiska, lecz przeciwnie, stwarzający szansę zaspokojenia potrzeb nas wszystkich, całego społeczeństwa. Chodzi bowiem o to, aby stan kultury w dobie kryzysu nie oznaczał kryzysu kultury. W komisji zjazdowej postulowano, a w dokumencie programowym potwierdzono, że należy uczynić wszystko, aby w nieodległej perspektywie nakłady budżetu państwa na kulturę wzrosły do około 2 proc. Ale przecież nie o środki finansowe jedynie chodzi, a również o tzw. bazę, np. poligraficzną.

Jest co najmniej kilka, jeśli nie kilkanaście warunków, od spełnienia których zależy będzie, czy w dobie współczesnego kryzysu nie dojdzie do dalszej deprecjacji społecznych wartości kultury.

gów? Czy znów naszym celem będą tylko rzeczy?...

KTO Z KIM

ma się porozumieć? Na jakich zasadach? To pytania zadawane bardzo często. Zadawano je od samego początku, od momentu, kiedy uświadomienie potrzeby zawarcia takiego porozumienia (a nie jedynie chwilowego rozejmu), stawiało się coraz powszechniej.

Jeśli chodzi o pytanie pierwsze, to chodzi tu niewątpliwie o porozumienie narodowe. Z natury więc musi to być porozumienie powszechne. Nie będzie miało takiego charakteru porozumienie się, czy lepiej dogadanie np. członków partii z „branżowcami”. Będzie cała wielka reszta narodu, z którą nie znalazłoby się „wspólnego języka”, byłaby w najlepszym razie milczącą opozycją, a paraliżowaną rygorami stanu wojennego.

Do takiej sytuacji dopuścić nam nie wolno. Takiego niebezpieczeństwa i groźnych jego skutków, trzeba unikać.

Porozumienie musi mieć także swoje potwierdzenie w sojuszu władzy z narodem. Władzy nie wolno obrażać się na naród. Władza musi zrozumieć dlaczego społeczeństwo jest jej niechętnie, obojętne, czy wcióż nieufne. Z drugiej strony każde nowoczesne zorganizowane społeczeństwo, państwo, musi być rządzone według określonych reguł, przez wyłonioną z narodu władzę. Naród, z permanentnym odruchem „na nie” w stosunku do władzy, będzie wiecznie rozbity i nekany wewnętrznymi rozterkami.

Porozumienie służyć powinno więc temu, aby władza przestała się wreszcie obawiać narodu, a społeczeństwo dąsać na władzę.

A teraz drugie pytanie, pytanie o zasady porozumienia. Rozmaicie próbowano dotąd odpowiadać, choć najczęściej odpowiedzi unikano. Dla mnie owe zasady, to:

— socjalizm, przede wszystkim socjalizm! Budowany już bez wstrząsów, zakrętów i niezliczalnych obietnic. A więc ten realny, wznoszony, jak dom na jaki nas stać, na gruncie narodowych uwarunkowań z poszanowaniem ogólnych prawideł. To raz.

— dwa: to realia polityczne, a więc odrzucenie narodowej megalomanii i przelamanie historycznych kompleksów, współpartnerskie szanowanie sojuszników, przyjaciół, partnerów ale i stała troska o umacnianie suwerenności państwowej;



PUNKT WYJŚCIA

dla naszych rozważań o kulturze w kryzysie stanowi kwestia porozumienia. Nie może być ona kwestią sporną, bowiem dla idei narodowego pojedynania, jak to podkreślano w środowisku łódzkich twórców, alternatywy nie ma. Porozumienie narodowe i zrozumienie się nawzajem, uznaniem wzajemnie racji poszczególnych grup społecznych, to klucz do przyszłości naszego kraju. Od tego, jak prędko dogadamy się między sobą, jak — przyswójmy już — Polak z Polakiem, zależy to czy będziemy jako kraj z Albanii czy w czołówce krajów socjalistycznych. A to nikomu z nas nie powinno być obojętne. Bo jest to w końcu także i problem naszej jednostkowej, osobistej przyszłości.

W budowaniu pomostów między poszczególnymi, zwaśnionymi politycznie grupami społecznymi, szczególną rolę mogą i muszą odegrać twórcy, ludzie sfery kultury. Jak powiedział ostatnio na posiedzeniu łódzkiej instancji partyjnej prof. Hieronim Kubiak, nie stać nas na jeszcze jeden kompleks i narodowa zdradę. Nie możemy sobie pozwolić na dylemat „nowego AK”. Nie wolno nam postawić poza margines życia społecznego ponad 40 tysięcznej grupy aktywny „Solidarności”. Tak samo uważam, nie stać nas na luksus demonstracyjnej „emigracji wewnętrznej” twórców kultury narodowej.

Ucieczka twórców nie jest wyjściem. Nie jest w każdym razie wyjściem właściwym. Można żyć w urazy. Tylko czy z tego powodu trzeba koniecznie popadać w neodekadencję? Bo czymże innym jest proponowana przez niektórych ucieczka w „wewnętrzna emigrację”? Może wyczekiwaniem na lepsze czasy? Tylko, że bez nas, bez naszego aktywnego udziału w tworzeniu nowej, socjalistycznej, polskiej rzeczywistości, bez naszego ogólnospołecznego udziału owe „lepsze czasy” nie nastaną nigdy. Tylko kompleksy będą w nas się pogłębiać. I tylko żal będzie jeszcze jeden nowy, żal po zmarnowanej szansie...

Artysta nie istnieje bez twórczości, bez aktywnie uprawianej sztuki, przez którą wyraża swój stosunek do rzeczywistości, w której zawarta jest jego nad nią refleksja. Podobnie nie zaistnieje, a jeżeli już, to co najwyżej odnotowany zostanie w ludzkiej pamięci najbliższych, jeśli zdecyduje się na ucieczkę lub nawet przysłowiowe tworzenie „do szuflady”, dla siebie. Podobnie, jak każdy człowiek, jak my wszyscy, tak samo i artysta, realizuje się jako osobowość i jako twórca określonych wartości jedynie w kontekście społecznym.

Każdej twórczości towarzyszą jakby dwie fazy. Pierwsza z nich to głęboko osobista — chwila stworzenia. Drugą zaś — to społeczny odbiór twórczości przez jej potencjalnych adresatów. Z listem napisanym, a nie wysłanym — niezależnie z jakich powodów — jest tak, jakby go wcale nie było.

Tak więc w znacznym stopniu od samych twórców, od artystycznej inteligencji, od popularyzatorów i menadżerów kultury, zależy będzie to, czy będzie ona wbrew deklaracjom i społecznym potrzebom, nadziejom marginesem życia narodu, czy też nie stronić będzie od głównego nurtu polskich przemian lat osiemdziesiątych. Bo tych ostatnich oczekiwać trzeba. Bo dla postępu alternatywy nie ma!

Stan wojenny się kiedyś skończy. A żyć trzeba będzie dalej. Żyć trzeba będzie, bo już dziś tego pragniemy — lepiej. A o jakości życia decydować powinno nie tylko to, czy będziemy kupowali na kartki i ile czasu przyjdzie nam tracić w kolejkach, ale również i to jacy będziemy. Jakie będą nasze aspiracje i cele poza naturalną skądinąd chęcią posiadania własnego mieszkania i paru innych niezbędnych drobiaz-

klaliśmy się w kłamstwa, w propagandową blagę, ideowe rozdarcie, podwójną moralność.

W kulturze także nie było inaczej. Wszyscy szli gęsiego, tą samą ścieżką. Tylko nieliczne wyjątki zdobywały się na nonkonformizm. Kultura więc podążała wraz ze społeczeństwem od kryzysu do kryzysu, od eksploacji do eksploacji.

To prawda. Prawie wszyscy popełnialiśmy błędy. Tylko, że nie wszystkim w jednakowym stopniu się je wybacza. Kultura winna być rozumem, honorem i sumieniem narodu. Dlatego nie wolno jej nigdy mówić dwoma różnymi językami, rodzić podwójne owoce twórczości. Jedne, jakby na stół odswieżony, dla historii, a drugie — na co dzień, dla pieniędzy, aby się przypodobać, aby przetrwać, przeczekać do lepszych czasów, następnego sezonu...

Zwykle tak bywało, że okresy szczególnie trudne w naszych dziejach, czy wręcz tragiczne, bo i tych przecież nam historia nie oszczędziła, owocowały w kulturowej spuściznie dziełami wybitnymi, głęboką twórczą refleksją o charakterze narodowym, polityczno-ideowym czy moralnym. Było to jakby powinnością twórców wobec narodu. Pokolenie za pokoleniem, powinność tę spełniało. Tak nasz narodowy dorobek urastał w ponadczasowe wartości kulturowe.

Na ile dziś kultura zdoła przelamać ciągły do koniunkturalizmu, sezonowości, nawyk dworskkości? Na tyle, na ile jej twórcy zdołają sobie uświadomić swoją odpowiedzialność i powinność wobec narodu. To trzyma ale powtórzmy: sztuka winna angażować się i to żarliwie, uparcie nie w obronie racji tej czy innej ekipy władzy (od tego jest propaganda) ale racji i wartości ideowych.

Sztuka na tyle zyska miano narodowej, nie-sezonowej, na ile zdoła skłonić nas, Polaków swoimi treściami, głęboką ideowością do refleksji nad tym co było dobrem, a co złem w powojennych dziejach. Na tyle, na ile podejmie trud udzielenia szczerzej, ideowo zaangażowanej, artystycznej odpowiedzi na pytanie: jak to się mogło stać, że doszliśmy tam, gdzie dziś jesteśmy? Że rzeczywistość tyle razy okazywała się być tak odległą idei i zamierzeniom? Dlaczego? Jak to się stało, że tak niewiele tzw. ekstremistów zdołało pozyskać sympatię mas?...

Są to pytania o rzeczywistość polityczną polskich nieszczytów po 1948 roku. Odpowiedź na nie jest nam wszystkim na dziś i na jutro potrzebna.

KULTURA NIE MOŻE BYĆ KOPCIUSZKIEM

ani w sensie zajmowanej pozycji w hierarchii społecznych wartości, ani jej wkładu w tworzeniu narodowego dobra. Jej nieposiedlenie miejsce musi być trwałe i mocne na tyle, aby potrafiła się oprzeć wszelkim ewentualnym kryzysom tak, jak to czynią silnie wrosłe młogocia korzeni w oczysty grunt stare drzewa.

Trzeba nam również przypomnieć o tym, że z natury swej służebna rola inteligencji twórczej wobec klasy robotniczej, nie może oznaczać fałszywej służalczości czy równie nieszczernej korbierli. Nie umacniały w przeszłości osławionego już „sojuszu światła i pracy z kulturą”, uparta niechęć niektórych twórców do poznania rzeczywistych problemów, racji i ludzkich rozterek, wyniosły a tani dydaktyzm lub napuszone mentorstwo.

Trzeba również gwoli sprawiedliwości przyznać, że nie bez grzechu w demontażu delikatnej konstrukcji tego sojuszu była druga strona. Poczynając od traktowania spraw kultury na odczepnie, po podsycanie antyinteligencyjnych nastrojów. Stąd wnioski na dziś i na jutro: więcej chęci wzajemnego zrozumienia, szczerości i szacunku.

Miejsce kultury ze względu na jej charakter niezależnie od systemu politycznego jest w nadbudowie społecznej. Sasiaduje tam z jednej strony z nauką, oświatą, ale i instytucjami politycznymi i ideologicznymi z drugiej. Wiadomo zaś, że gwarancja stabilności systemu jest mocny związek z elementami bazy społeczno-ekonomicznej. Kultura w umacnianiu tego związku może i musi odegrać rolę szczególną a zarazem specyficzną. Można ją przyrównać do szczególnego rodzaju pomostu między tymi, co wytworzą, a tymi, co dzieła. Dlatego twórcy tak bardzo muszą być wrażliwi na ludzkie losy i krzywdy, uczuleni na sprawiedliwość, prawdę i uczciwość, gotowi zawsze stawać w obronie ludzkiej godności ale także muszą potrafić widzieć, analizować i opisywać wszystko w kategorii racji historycznych, narodowych, ustrojowych.

IX Zjazd opowiadając się za nieinstrumentalnym traktowaniem twórczości i za swobodą twórców, uznał za konieczne podkreślić, że partia nie powinna rezygnować z preferencji ideowo-artystycznych. Równocześnie zaś winna sprzyjać w miarę możliwości tworzeniu coraz lepszej, szeroko rozumianej bazy materialnej dla twórczości i twórców, dla kultury w ogóle.

Jak więc widać, istnieje świadomość obopólnych zobowiązań. Istnieje więc realna podstawa porozumienia a także wstępne gwarancje jego realizacji.

To czego nam w przeszłości brakowało, to mądrego mecenatu dla kultury, kompleksowego programu i konsekwentnego spełniania warunków niezbędnych dla jej rozwoju, umacniania poprzez wielorakie instrumenty mądrej polityki kulturalnej miejsca kultury w społecznej hierarchii wartości. Ow mecenat najczęściej był formą skromnej jałmużny lub lekomyślnego kredytu, rzucanego ra oślep, wspinałomyślnie, po pańsku. Było to źródło frustracji, niepokojów, kompleksów i waśni.

Z tego typu praktykami należy wreszcie skończyć.

Mam świadomość, że podejmując w niniejszym artykule tematykę przyszłości kultury, za ledwie zdołałem, choćby z racji ograniczeń rozmiar tego typu wypowiedzi, zasygnalizować kilka, moim zdaniem co ważniejszych problemów. Nie mam aspiracji do tego, aby udzielić pełnych odpowiedzi na postawione pytania. Byłoby to chyba niemożliwe. Byłbym natomiast usatysfakcjonowany, gdyby te moje kilka uwag zainspirowało zainteresowanych do podzielenia się swoimi poglądami, własnymi ocenami. Będziem wspólną naszą troską winno pozostać to, aby tytuł tego artykułu nie był odczytywany jako: kryzys kultury.

Maciej Józef Kononowicz



No i patrzcie ludzie: Maciej Józef Kononowicz skończył 1 tego br. siedemdziesiąt lat.

Spotkaliśmy się w zacisznym obozie w Sandbostel 25 lutego 1945 r. Niemcy, którzy mnie i kilku moich kolegów złapali, gdyśmy się wymknęli z konwoju jeńców, opuszczających Gross Born, przywieźli nas nocą do Sandbostel. Obóz był wielki, baraki brudne, jedzenie żałosne. Ale humor był — od razu pierwszego dnia trafiliśmy na rewię jeniecką zorganizowaną przez Krukowskiego i Lewandowskiego (dziś Boba). Chór śpiewał „Natale” i „Wymarsz Uderzenia”.

Umieszczono mnie w izbie „artystów”. Jej mieszkańcami byli m. in. dwaj bracia Kononowicze: poeta Maciej i malarz Marek. Gnieździłem się z Maciejem na najwyższym piętrze trzypiętrowych przycz. Było tam zimno, przewietrznie i strasznie grzyły wszy. Ale wierzyliśmy w bliski koniec. Poza tym słuchaliśmy kazań o Warszawskiego, wierszy Kononowicza i Bratnego, deklamacji i wspomnień Tadeusza Fijewskiego. Zawarliśmy gorącą przyjaźń. W kwietniu Niemcy przepędzili nas zdrowym marszem do Lubeki.

W Lubecie 2 maja doszło do uwolnienia przez Anglików — i do rozstania. Ja wyruszyłem piechotą do kraju — Kononowicz pozostał. Ale nie na długo. W rok później spotkaliśmy się już w Polsce. Zaczęliśmy razem pisać do „Dziś i Jutro”.

W Sandbostel nauczyłem się cenić i kochać Macieja. Pocziwy, serdeczny, obdarzony wspaniałym humorem, oddany w przyjaźni, gotów do każdej usługi, był towarzyszem niezrównanym. Gdyśmy zaczęli sobie wzajemnie opowiadać o swych doświadczeniach czasu okupacji okazało się, żeśmy wojowali blisko siebie — w tych samych szeregach.

Kononowicz wywodzi się z rodziny, która ma powstanie we krwi. Słynny dowódca z 1863 r. ppulkownik Władysław Kononowicz rozstrzelany w Warce (opowiada o nim w swym wspaniałym „Dziadziectwie” Zofia Kossak) należy do jego przodków. Oba Kononowicze, wraz z siostrą, bohaterską dr „Nono”, zapisali swoją kartę w pracy podziemnej, a potem w powstaniu.

Po powrocie do kraju w 1946 roku Kononowicz podjął pracę literacką. Zaczęły się sypać wiersze, pojawiały się książki: „Stacje liryczne”, „W ramionach srebrnych rzek”, „Portret nieurojony”, „Zaułek fraszkośliwy”, „Prawą ręką za lewe ucho”, „Kilka imion miłości”... że wymienię tylko niektóre tytuły.

Kononowicz stał się jedną z czołowych postaci literackiego środowiska łódzkiego. Związał się także gorącą przyjaźnią z biskupem Michałem Klepaczem — zwierzchnikiem Kościoła w Polsce w latach 1953—1956, wtedy gdy Prymas Wyszyński znajdował się w izolacji. W tamtym okresie Kononowicz był często wzywany do pałacu biskupiego jako doradca i opiniodawca. Po śmierci biskupa Klepacza, Kononowicz napisał przepiękny tomik wspomnień o Zmarłym pt. „Biskup Michał”.

W latach 1957—1961 Kononowicz pełnił obowiązki posła na Sejm z ramienia PAX. Był to czas trudny, czas bolesny czas „nagonki” na PAX i morderstwa syna Bolesława Piaseckiego.

Był współzałożycielem Klubu Literatów „Krag”. Został wiceprzewodniczącym — i jest nim po dziś dzień. Brał udział we wszystkich sesjach wyjazdowych „Kregu”. Wraz z biskupem Bejzem organizował sesję ku czci Maksymiliana Kolbe. O mało nie utonęliśmy we trzech wraz z Władkiem Grabskim w jeziorze Wigry podczas wyjazdu „Kregu” na Suwalszczyznę. Nie raz i nie dwa przychodziło mi pożywić się wspólnie z Kononowiczem, a jeżeli przy tej okazji trzeba było wypić czyjeś zdrowie, zaczęliśmy je od zdrowia inżyniera Tadeusza Kościuszki — bo taki jest obyczaj Kononowicza, że nie wypije niczyjego zdrowia póki nie uczył Naczelnika.

A tu nagle okazało się, że brzdękła mu siedemdziesiątka. Prawdziwego kombatanta zastała na posterunku twórczym: tak niedawno czytaliśmy jego przemówienie wspomnienia o wspinaniu się na łódzki komin fabryczny pt. „Romantyczne i zielone”.

A co będziemy czytali, drogi Macieju, za trzydzieści lat?

JAN DOBRACZYŃSKI

Żeby jeszcze raz

żeby jeszcze raz
witać brzask
i wschód
na leśnej polanie — —

żeby jeszcze raz
idąc zasnąć w marszu
albo na mchu
czy na sianie — —

żeby jeszcze raz
na oklep
galopem
i w Niemnie pławić konie — —

żeby jeszcze raz
zgubić noc
dzień dognać
jutro przegonić — —

żeby jeszcze raz
tańczyć z Cyganką
na wiejskim weselu — —

żeby jeszcze raz...
mój
sprzed czterdziestu lat
przyjacielu.

Przedwieczerz z dzieciństwa

Matce

Pod słodkąw narkozą
tataraku i siana — —
wieś osuwa się w ciszę.
W dalekich stawach
rechocą żaby.
Osika,
którą ciekawość zawiodła na wzgórze,
strąca z siebie złociste dukaty.
Wysokie jaskółki ostrą skrzydła
na złoconej osłonce chmury.

Tak trudno uwierzyć,
że utrwaliłem ten obraz w pamięci,
trzymając aksamitną dłoń matki,
pochylonej nade mną.

U wodopoju o zachodzie

Łachę piasku
zepchniętą w rosną łąkę
utrwała negatywy kopyt
Brzozy pasące swe cienie
spychają je ze skarpy
do wodopoju

Koń
całuje swój pysk
przez szkło wody
i patrzy z dna jeziora
na step niebokręgu
na blade-srebrną podkowę
którą zgubił w galopie
pegaz

Krwawe oko słońca
Przymrużone wzgórzem
podgląda nagie dziewczyny
zstępujące w złocie cerkiewnym
w ciszę wody
w milczenie tataraku

A ja
patrzę z wysokich okien
na wschód wielkowiejskich neonów
Może sny
powiodą mnie do wodopoju
bym mógł nasycić pragnienie
złotem cerkiewnym.

Grzybobranie

Maksimowi Tankowi

szukałem grzybów w dąbrowie
szukałem grzybów w dąbrowie
zebrałem pełne oczy
po same brzegi powiek:
hełmów
łusek
granatów
bunkrów
okopów ziemianek
krzyży i gwiazd na grobach
kilka kurhanów bez imion

zroszonych czerwoną kaliną
zroszonych czerwoną kaliną

zebrałem pełne oczy
zebrałem po same zęby
żołędzi żłotozielonych
co wyplakały je dęby
kulami poranione
grzybów nie było w dąbrowie

Modelka wiatru

Dziewczyna — — modelka wiatru,
Stoi w wiosennym deszczu.
Przenosi spod daszka dłoni
Żłotozielone oczy
Na chmurę odpływającą,
Rozprutą diamentem słońca

Wiatr mokrym żaglem sukienki
Oblepił gorące jej ciało
I obrysował piersi,
Biodr krągłość i smukłość nóg.
I przewiał szparą płotu
Na łąkę, pod skrzydło lasu,
Unosząc żłotozieloną
W tęczy tuman mgły.

I szukam wiatru w polu,
I szukam wiatru w lesie,
Szukam wiosennych deszczów,
Mimo, że jesień...

Ścieżki

Prof. Stefani Skwarczyńskiej

Ścieżek się nie planuje,
nie buduje.
Ścieżek nie ma na mapie,
A są.
Wiążą wieś — — ze wsią,
Chatę — — z chatą sąsiada,
Ze szkołą i ze sklepikiem,
Z kościołem i z karczmą,
Z kuźnią i z młynem,
Las — — z rzeką,
Chłopca z dziewczyną.
Wydeptują je ludzie bezwiednie — —
Rok za rokiem, krok za krokiem,
Dzień w dzień, noc w noc,
Boso, w łapiach, w kamazach,
W trawie, w piachu, w śniegu,
W marszu, w biegu — —
W mądry, logiczny system
Wspólnoty i zależności,
Przyjaźni i miłości.

Patrzę w dolinę oczami Cyganki
Na ścieżki, na dróżki,
Jak na bruzdy dłoni człowieczej,
Otwartej na wróżby.
Ile ścieżek prowadzi do ciebie?
A ile ścieżek — — od ciebie?
Popatrzę. I powiem ci
Kim jesteś.



Rys. Janusz Szymański-Glanc

Temat ten ma pecha, choć wydawał mi się i wydaje nadal paląco aktualny, zawsze coś stało na przeszkodzie, aby go podjąć. Ostatnio przygotowany już do druku tekst zaginął gdzieś w redakcji czy w drukarni w czasie gdy nie wychodziły przejściowo zawieszono „Odgłosy”.

Drugie zastrzeżenie zdaje się być ważniejsze: tytuł pochodzi od znakomitego krytyka Jerzego Stempowskiego, z którego eseju — zamieszczonego w 1938 roku w czasopiśmie „Pióro”, a przedrukowanego przez „Dziadziectwo” w numerze 8/1958 — pomyślniej w pierwszym odcinku ośmielił się pełnymi garściami czerpać. Nie mogę doprawdy wyjść ze zdumienia, dlaczego w niezliczonych dyskusjach o krytyce — teatralnej i nie tylko teatralnej — jakie przez wszystkie powojenne dziesięciolecia przetaczały się przez prasę literacką, oryginalny punkt widzenia Stempowskiego był regularnie przemilczany, spierano się natomiast do znużenia o pożądany stopień fachowości recenzenta. Pytanie o fachowość jest bowiem pytaniem wtórnym w stosunku do pytania dla kogo i z czyjego upoważnienia recenzent odważa się pisać.

Ktokolwiek był w Rzymie — rozpoczął — Stempowski — pamięta tamtejsze niezrównane, lekkie białe wino Orvieta. Tawerny zaopatrzone w Orvieta poznaje się z daleka po zdobiących je napisach: Est! Est! Est! Według starej legendy pewien wybredny w sprawach trunków opat, jadąc do Rzymu, przed każdym postojem wysyłał na zwiady kleryka, który, zbadawszy zalety miejscowych win, dla orientacji zdającego za nim opata pisał kredą na drzewach tawern słowo est. to znaczy (vinum bonum) est. Razu pewnego opat ujrzał na drzewach napis Est! Est! Est! rodzaj potrojnego wiwatu, którym entuzjastyczny kleryk usiłował opisać zalety znalezionego wina. Było to sławne wino z Orvieta, które odtąd zwołuje swych wielbicieli do tawern rzymskich potrójnym jest.

Jeżeli wyobrazimy sobie, że podróżuje nie jeden, ale kilkuset ojców poszukujących dobrego wina, wówczas stanowisko wysylanego przez nich kleryka pod wielu względami będzie przypominało stanowisko recenzenta.

Pełnomocnictwa kleryka wysylanego dla zbadania wina są jednak znacznie szersze od pełnomocnictw najbardziej nawet autorytatywnych recenzentów naszych czasów.

— Nie pijcie, ojcowie duchowni, to cienkusz — mówi kleryk i srawa jest przesadzona. Ojcowie idą pić gdzie indziej.

— Nie idźcie na tę sztukę — to szmira — mówi krytyk, ale wyrok jego nie pociąga za sobą żadnych skutków. Publiczność dżwięjsza nie uważa krytyka do wyrokowania w jej imieniu i — jakkolwiek czyta recenzje — chodzi na wszystkie sztuki, najlepsze i najgorsze, bez różnicy.

Tak przyrównawszy recenzenta do kłepera, podkreśliwszy też, iż sądy kłeperskie wypowiadają niepomierne — mniej kontrowersyjnie, Stempowski cofa się do historii.

Broszura, jaką Abbe d'Aubignac ogłosił w 1663 r. o Corneille'u — pisze — zawiera następującej treści uwagę wstępna, objaśniającą, dlaczego autor zabrał głos w tej sprawie. „Kiedy „Cyda” okrył sławą nazwisko Corneille'a, pewna dama, bardzo wysoko postawiona i jeszcze bardziej zasłużona, rozkazała mi zobaczyć tę sztukę i dać znać, co o niej myślę.” W zdaniu tym odnajdujemy niemal dosłownie historię opata i kleryka. Księżna R... wysłała swego nadwornego krytyka do teatru dla wycenienia sztuki. (...)

Coś bardzo podobnego znajdujemy w protokołach Akademii Francuskiej z 1637. Po odczytaniu różnych listów w tym przedmiocie „i po zapewnieniu zgromadzenia przez p. de Boisroberta, że taki zamiar iść będzie po myśli pana kardynała, postanowiono mianować trzech komisarzy dla zbadania „Cyda” i zarzutów przeciw niemu podniesionych...” Jak widać z powyższych słów, uważano wówczas za zupełnie naturalne w sporze literackim odwołać się do urzędowych ekspertów. Nie tylko publiczność i „pan kardynał” (Richelieu), ale sami eksperci nawet uważają to za rzecz naturalną i powołują komisję, upelnomocnioną przez Akademię, a pośrednio i przez „pana kardynała” do zbadania i oceny „Cyda”. I tu więc wracamy do opata wysyłającego obrotnego kleryka do Orvieta. (...)

Krytyk XVII wieku miał przed sobą bardzo niewielkie audytorium. Po kilku przedstawieniach „Cyda” widzieli go już wszyscy, cała ówczesna publiczność. Widywowie rekrutowali się z jednej grupy społecznej, operującej jednokowymi pojęciami. Przeglądając liczne komentarze, jakie wywoływały premiery Corneille'a i Racine'a, jesteśmy niemal zdumieni

Pełno- moc- nic- twa recen- zenta

I uświęcona wickowa tradycją forma omawiania w gazecie produkcji teatralnej.

I tu dopiero Stempowski zadaje pytanie podstawowe, pytanie o mandat recenzenta. Czytuję dalej, z konieczności wciąż i wciąż dokonując zaznaczanych lojalnie wielokropkami skrótów.

Jak w tych warunkach można by określić położenie recenzenta wśród tych trzech czynników: czytelnicy, wydawca pisma i dyrektor teatru? Kto z nich właściwie upoważnia recenzenta do krytycznego oceniania sztuk i widowisk teatralnych?

Elita publiczności, która w osobach „panów kardynałów”, akademików i „dam bardzo wysoko postawionych” dawała niegdyś pisemny mandat recenzentowi, nie daje mu dziś żadnego oparcia. Widownia teatru i czytelnicy pism są dziś masą zbyt różniczkowaną, aby posiadać wspólne kryteria smaku i miarę w wypadkach spornych powołać wspólnego arbitra. (...)

Mandat swój recenzent zdaje się na pozór otrzymywać od wydawcy pisma, który zaprosił go do współpracownictwa i honoruje jego prozę ryczałtem lub od wiersza. Bliska jednak znajomość z tą sprawą budzi wątpliwość.

Recenzja jest stara i szacowna forma felietonu, w przyjemny sposób urozmaiacjąca gazetę i rzadko budząca sprzeciw ze strony cenzury. W pismach wychodzących pod cenzurą prewencyjną redaktor oddawał często dział recenzji publiczności o najwyższym temperamencie. Nieowocnym było w recenzjach sprawiała najmniej kłopotu redaktorowi. Recenzent mógł rozprawić się z monarchami w papierowych koronach, z kalfami na godzinie, słowem z całym złudnym światłem dawala na chwilę wywodów niezależności, nawet wielkość literatury w piśmie zmuszonym skądinąd kłaniać się z daleka pp. bardzo niewielkim pieskom. Felietonista umiejący stwarzać takie chwile iluzji był zaszywanym cenionym członkiem redakcji.

Mylilibyśmy się jednak przypuszczając, że wydawca pisma upoważniał recenzenta do zajmowania w jego dziele jakiegokolwiek stanowiska zasadniczego lub do uroczystego wypowiedziania takich czy innych sądów. Recenzent może to co najwyżej robić na własną odpowiedzialność i tylko tak długo, dopóki pismu nie sprawia to najmniejszego kłopotu. (...)

Najsilniejsze oparcie recenzent znajduje u dyrektora teatru. Ten ostatni nie przywiązuje większej wagi do opinii recenzenta. Dla niego to samo, czy w granicach swych wpływów uznaje prawo recenzenta do tzw. libre examen. Kierownik przedsiębiorstwa teatralnego jest osobą najbardziej zainteresowaną w zachowaniu przy życiu tego rodzaju literackiego i osób uzdolnionych do jego uprawiania. Gdyby dla tych lub innych przyczyn osób takich zabrakło, i recenzje znikły ze szpalet prasy, dyrektor teatru musiałby własnym kosztem starać się o przywrócenie stanu poprzedniego. (...)

Zmiana pełnomocnictw nie pozostawia bez wpływu na charakter recenzji. Rzadko dziś zdarza się czytać recenzję wzorującą się na sędziach salomonowych. Recenzenci, którzy zachowali jeszcze manieri sędziów, operują dziś swą wyroki zazwyczaj na przesłankach pozateatralnych. Najczęściej praktykowane sposoby recenzowania polegają dziś na streszczeniu sztuki, na własnemu sędziemu w jej stronę historyczno-literacką lub wreszcie na opisie jej strony widowiskowej. Sposoby te odpowiadają roli recenzenta jako rzecznika teatru; zwracają się do publiczności w celu ułatwienia jej przyswojenia sztuki (streszczenie), wciągnięcia jej w gre interpretacji, aktualizacji i komentarzy (własnie historyczno-literackie) i wreszcie oswojenie jej z widowiskową stroną przedstawienia.

Tu przerywamy. Stempowski zajmuje się bowiem dalej przede wszystkim recenzją książkową, a do spraw teatru jedynie na moment w zakończeniu wraca. Błyskotliwy wywód krytyki zawiera wszelako pewną wykrywalną sprzeczność, podkreślając bowiem, iż recenzja w znikomym tylko stopniu wpływa na wybór przedstawienia, autor przypisuje jej przede wszystkim reklamową funkcję, a coż to za reklama, która trafia w próżnię i nie przynosi żadnego efektu!

Zgadając się, iż to teatr właśnie udziela recenzentowi mandatu, że względu na przemijalność, ulotność scenicznych realizacji, jest plan pierwszy wysuwałbym dokumentacyjną rolę recenzji, gdyż ta nasza pisanina i trochę nie zawsze najlepsza jest nie małym wszystkim co pozostaje na schodzącym z afisa spektaklu. Chciałbym zarazem wierzyć, że przy możliwym do podjęcia wysiłku recenzent — choć tylko w ograniczonym stopniu i tylko dla pewnej części publiczności — znów może zacząć spełniać rolę kłepka, wstawianego na zwłady kłeryka. O tym jednak napiszę w kolejnym adunku, dzieląc się już bardziej osobistymi doświadczeniami.

JERZY PANASEWICZ

„Jed- noro- żec z gwiaz- zd”

EWA PANKIEWICZ

Powody, dla których łódzki Teatr im. Jaracza postanowił (jako pierwszy w Polsce) zaprezentować na swojej Małej Scenie sztukę irlandzkiego dramaturga Williama Butlera Yeatsa pt. „Jednoróżec z gwiazd” mogły być wielorakie. Dziś, gdy zamysł repertuarowy został zrealizowany, gdy dokonał się kolejny fakt artystyczny, kwestia wyboru przez teatr tego akurat tytułu, pozostając z jednej strony poza spekulatywną dyskusją, z drugiej jednak musi budzić refleksję nad miejscem wyznaczonym mu w bardzo przeciętnej i wyraźnie określonej linii repertuarowej teatru kierowanego od kilku lat przez Bogadną Hussakowską.

Te trzy już bodaj sezony łódzkie Hussakowskiej (jeśli pomyliłam się w ich liczbie, proszę by zainteresowani zechcieli mi to wybaczyć) świadczą wyraźnie, iż pragnie ona, aby jego teatr był — by użyć miana stanowiącego odpowiednik jednego ze znanych nurtów naszej kinematografii — teatrem możliwego niepokoju.

Umieszczenie w tak zarysowanej i dosyć konsekwentnie, choć z różnym powodzeniem realizowanej linii repertuarowej sztuki Yeatsa mogło nieść tyle samo ryzyka, iż zachwiania, ile pewności, iż realizacja „Jednoróżca z gwiazd” będzie kolejnym etapem twórczych poszukiwań zespołu w tej akurat sferze problemów.

Sztuka Yeatsa jest utworem zarówno treściowo, jak i stylistycznie niezwykle złożonym. Można określić ją mianem dramatu poetyckiego, któremu przyswieca duch symbolizmu, który z tego ducha jest zrodzony. Symbolika „Jednoróżca z gwiazd” wiąże się z nieznanymi u nas mitami celtyckimi łączy się także z odległą, a równie mało u nas znaną historią Irlandii, co może dodatkowo utrudniać właściwą percepcję wszystkich warstw znaczeniowych tego utworu. Sfera problemów moralnych o ponadczasowym i historycznym charakterze pod warunkiem pełnego ich wyeksponowania, czyni ją jednak zrozumiałą, choć autorski sposób prezentacji tych problemów wymaga od widza zwiększonego wysiłku intelektualnego.

Surowość myśli i słów jakimi owym myślim nadął kształt irlandzki poeta czyni filozoficzno-poetyckie przesłanie jego sztuki na tyle dostępnym, że zasadna wydaje się decyzja zaprezentowania jej polskiemu widzowi nie tylko jako rzeczy jeszcze u nas nieznannej, ale przede wszystkim jako utworu mogącego stanowić pretekst do rozważań o charakterze ogólnym, do dyskusji wokół problemów etycznych nurtujących człowieka niezależnie od daty i miejsca jego urodzenia. „Trzeba powiedzieć że w miarę jak stawał się coraz bardziej irlandzki, nie w swojej tematyce, ale w sposobie wyrazu, stawał się równocześnie uniwersalny” — napisał w swoim szkicu o autorze „Jednoróżca z gwiazd” Thomas Stearns Eliot, a głębokiej prawdy tego sądu dowodzi także prapremie-

rowa inscenizacja sztuki Yeatsa, czym Teatr im. Jaracza potwierdził może słuszność swej decyzji o przedstawieniu jej polskiemu widzowi.

Niezwykle wysokie wymagania, jakie Yeats stawia odbiorcy swojej sztuki okazują się być średniej trudności rebusiem wobec zadań (a miejscami niebezpiecznych zgola pułapek) jakie swoim tekstem i wpisana weń wizja inscenizacyjna daje on reżyserowi i aktorom. Mnogość symboli, ich wielorakie znaczenia, ciągle krzyżowanie się planów realistycznego i poetyckiego i wielość wątków w każdym z nich, nader skomplikowany, mimo pozorów być zupełnie kreski, rysunek postaci to tylko kilka z wielu stopni trudności. Świadomości tych trudności twórcy inscenizacji poradzili sobie z nimi dobrze choć z różnym stopniem powodzenia.

Spektakl ma niezbyt równe tempo i miejscami (zwłaszcza w pierwszym akcie) jest zbyt nużący. Młodym reżyserowi ANDRZEJOWI MAJOWI w sposobie podejścia do tekstu wyraźnie zabrakło odwagi. Moim zdaniem tekst ten należało nieco oczyścić ze zbędnego, choć istotnie ładnego, wielośłowia. Pozostawienie go w spektaklu najpierw rozprasza uwagę każąc widzowi dzielić ją na wątki równoległe a mniej — dla nas — istotne, potem nuży, a wreszcie całkowicie nie ma dekoncentruje, co później utrudnia myślowy powrót do kwestii dzisiaj i dla polskiego widza najważniejszych. Pozostawienie w tekście sztuki szeregu takich „wielosłownych” kwestii (w znaczeniu: fragmentów dialogu) rozproszyć musiało także reżysera, bo dopiero zakończeniem pierwszej części spektaklu i częścią drugą dowiódł on umiędzianym wyboru treści i znaczeń najważniejszych. Nazbyt wydłużona, żeby nie powiedzieć iż przeciągnięta, ekspozycja zwracała uwagę na mniej istotne elementy obyczajowości i wszystkie wątki czyniąc jednakowo ważnymi, żadnemu nie nadała szczególnego znaczenia. Tempo spektaklu to już kwestia stopnia opanowania tajemników warsztatu reżyserskiego, wypada mi więc tylko przyjąć pierwszą próbę młodego reżysera z uznaniem, ale i nadzieją, że nad tym elementem warsztatu zechce on pracować w przyszłości szczególnie intensywnie. Podobnie jak nad jedną z najważniejszych bodaj w swoim zawodzie kwestii, jaką jest umiędzianym precyzyjnym określenia zadań aktorskich i właściwego prowadzenia wykonawców, a więc bezwzględnie egzekwowania realizacji tych zadań.

Doświadczeni aktorzy: WIRGILIUSZ GRYN (w roli Thomasa Hearne’a), STANISŁAW JAROSZYŃSKI (jako Andrew Hearne) i BOHDAN WRÓBLEWSKI (ojciec John) wyrażnie sami nakreśliли swoje role i znakomicie je zagrali, rola Johny’ego, w której oglądaliśmy dobrze wywardzonego się z niej RYSZARDA MROZA była dla reżysera (bo nie dla aktora) zadaniem stosunkowo prostym. IRENA BURAWSKA (Nanny) i ALEKSANDER MIKOŁAJCZAK (Paudeen) z dużą kulturą sceniczną wkomponowali się w całość przedstawienia, ale już LIDIA DUDZIA (w roli Biddy Lally, Cathleen) i przede wszystkim KRYSZTOFOWI FRANECKI (w kreacji głównej rolę Martina Hearne’a w procesie budowania postaci wyraźnie zabrakło zdecydowanej na nadanie im właściwego rysunku i kierunku, konsekwentnie prowadzącej ich określoną (co nie musi oznaczać że wąskim) torem ręki reżysera. Oboje najmłodszy aktorzy prapremierowej inscenizacji „Jednoróżca z gwiazd” mają zresztą własne (a dość niestety, wyraźne) braki warsztatowe: Krzysztof Franeczek niedostatecznie opanował gest, którego zamieszkości nie tłumaczy nawet charakter kreowanej postaci, i dykcję, która „wsparta” wywiedziona z premierowej tremy nerwowością, przeszkadzała w pierwszych scenach spektaklu. Lidia Duda natomiast niezbyt umiejętnie operuje głosem, czemu towarzyszy brak zdecydowania i aktorskiej pewności siebie którą w nadmiarze, w sposób graniczący z desperacją demonstrował (zapewne usiłując pokryć treść) odpowiednią rolę.

Słowa uznania należą się autorze scenografii KRYSZYŃCE SZCZEPAŃSKIEJ, której dzieło przy jego realistycznych elementach miało także niezbytny walor poetycki. Piękna muzyka odozbił spektakl ZYGMUNT KONIECZNY

Idźcie na te!

JOLANTA WRONSKA

Jeśli komuś trzeba chwili oddechu, wyłączenia się z tego codziennego młynka, jeśli macie już dość, idźcie na to!

Dwie godziny psychicznego luzu i dobrej rozrywki. Kryminał można nie lubić z różnych przyczyn. A to, że poniżej poziomu intelektualistów czytających do poduszki Kafkę, albo nawet Joyce’a, a to, że marnota warsztatu i w ogóle byle co. Jednak zdarza się kryminał, który — w zgodzie z prawidłami gatunku — daje jeszcze coś. Kawalek przenikliwej znajomości życia i umiejętności obserwowania ludzi. Wcale nie rzadko bywa, że wysokogatunkowa powieść kryminalna, jest równocześnie znakomitą obrazkiem obyczajowym.

Kto czytał powieści Agaty Christie, kto pękał ze śmiechu czytając Camilewską, ten wie, iż dobry kryminał jest więcej wart, niż „szarpnięcie głębi wyalienowanego jestestwa” w tzw. działach literatury pięknej.

Dlatego z czystym sumieniem polecam wszystkim przagnącym tak po prostu, wzwyczajnie pobawić się, debiut filmowy Juliusza Machulskiego „VABANK”. Debiut już dostojny dwiema ważnymi nagrodami (Główna Nagroda „Złote Lwy”, Festiwal Filmowy Fabularnych, Gdańsk 1981; Główna Nagroda „Złota Palma” FFF MANILLA 1981).

Może się kto zdziwi, że jako środek relaksacji, proponuję kryminał. Otóż właśnie. Nie taki znówu bardzo krwawy, a po wtóre — rzadki do ptak w polskim filmie. Nie dość, że kryminał po polsku, to jeszcze udany. Więc choćby dlatego warto to zobaczyć.

Film tego gatunku nie ma u nas dobrej tradycji, utrzymany zaś w realiach Polski międzywojennej, ma dla nas współczesnych, trochę posmak bajki. Nieprawdziwej przygody z nieprawdziwego świata. Gdybyśmy żyli w Ameryce i oglądali amerykański kryminał, byłoby on dla nas rejestracją realnego życia, a przynajmniej rejestracją całkiem prawdopodobną. A tak, nawet niewielka doza brutalności nie rozbija tej otoczki bajkowej, dzięki której film nie budzi leku czy odrazy, lecz daje się oglądać na zupełnie innym luzie.

Żadnej fachowej egzegezy robić nie zamierzam, o kilka refleksji widza lubiącego kino.

Prywatnie, dziełem sobie obejrzanym na te, które ogląda się tylko raz, i te, które bez meki ogląda się dwa i więcej razy. Te pierwsze niekoniecznie muszą być gniołami, niepotrzebnie straconym czasem i pieniędzmi wydanymi na bilet. Są takie wielkie filmy, jak choćby „Lot nad

kukułczym gnłazdem”, po których pozostaje wstrząs psychiczny i tak głębokie wrażenie, że powtórka nie jest już potrzebna. Te drugie — wcale nie gorsze, za każdym razem ogląda się od nowa i zawsze się bronią, jak np. „Grek Zorba”.

Do tej właśnie kategorii zaliczyłam sobie „Vabank”. Dwukrotna wizyta w kinie nie skończyła się nudą.

Nie ma sensu roztrząsanie źródeł zapożyczonych przez reżysera wzorów, ani tym bardziej wylukiwanie faktograficznych nieścisłości. Dość, że całość nie rozlała się w szwach i jest niekwestionowanym dziełem swego autora.

Debiutujący jako reżyser i scenarzysta Juliusz Machulski wykazał dwie istotne zalety. Po pierwsze, że rozumie mechanizm kina, jego prawa i ograniczenia. Po drugie — okazał się mieć szczęśliwą rękę w doborze aktorów. Nawet to, że film jest — powie- działbym — bardzo męski (w przenośni i dosłownie), nie jest przypadkiem. Dwa, bardzo delikatnie zarysowane epizody kobiece, podkreślają tylko gęstość spraw dziejących się w świecie cwanych mężczyzn.

Cała akcja zwarta, prowadzona z ikrą, opowiada o kilku inteligentnych i pomysłowych facetach robiących sobie wzajemnie kuku. Główne role, wymagające dużych umiejętności, obsadza szczęśliwy garnitur znanych fachowców: Stanisław Machulski (główna rola), Witold Pyrkosz, Leonard Pietraszk. Uzupełniają ich znakomita młodzież — Krzysztof Kierszno i Jacek Chmielnik (debiut ekranowy). Bardzo mądrze został obsadzony drugi plan, gdzie zwłaszcza blizszy majstersztyk Henryka Bisty, w drobny sposób epizodycznie. To, że ów drugi plan nie odstaje, że nie ma czegoś tak częstego w polskich filmach — długo, długo nie między głównymi postaciami a tłem — to zasługa bardzo starannego warsztatu. Wszystko się płynnie uzupełnia bez zgrzytów.

Jerzy Łukasiewicz, operator, zadbał o wysmakowanie szczegółu, o ciekawe ujęcia, znamionujące wrażliwość na barwę i architekturę planu. Każde drobniak ma swe znaczenie dla akcji, każdy siedzi na właściwym miejscu.

Dobre, wytrzymane do końca tempo akcji idzie w parze ze skrzącym się dowcipem sytuacyjnym i ciętym dialogiem. Nie ma na szczęście popisywania się zbędną erudycją, nie ma gadulstwa i dłużyć. Jest sama swojskość doprawiona nieco jędrnością, ale bez wulgarności. Lekko i z wdziękiem.

Całość oprawiona jest muzyką stworzoną przez Henryka Kuźniaka. Muzyka ta warta jest podkreślenia. Stylowa, utrzymana w konwencji lat trzydziestych, zdradza jazzowe upodobania kompozytora. Trochę swingu, trochę kabaretowego rag time’u, no i świetne wykonanie, tylko nie bardzo wiadomo kto gra. A szkoda, bo blacha małego knajpanego comba warta jest zauważenia. Jeśli z dużą przyjemnością ogląda się ten film, to na pewno duża w tym zasługa właśnie muzyki.

Polecam więc „VABANK” i życzyć dobrej zabawy.



„Vabank” reż. Juliusz Machulski

Ci wielcy i ci mali

HENRYK SROCYŃSKI

Desant argentyński na Wyspy Falklandzkie i na tym nie ostry konflikt między Anglią i Argentyną, to tylko jeden z licznych w dzisiejszym świecie sporów (choć rzadko prowadzą do konfliktów zbrojnych) między państwami o skrawki ziemi rozrzucone na morzach i oceanach. Nie chodzi tu już tylko o wyspy zamieszkałe i posiadające bogactwa naturalne — często roszczenia dotyczą małych atolów, raf koralowych, szczytów podwodnych skał, a także wylaniających się z otchłani morza piaszczystych mielizn Archipelagiem, który grupuje takie właśnie bezludne wysepki i o które spór toczy się pięć państw: Chiny, Tajwan, Wietnam, Filipiny i Japonia, są Wyspy Spratley na pograniczu Oceanu Spokojnego i Indyjskiego; przed paru laty Filipiny dokonały zbrojnego desantu na... piaszczystą wydmy o nazwie Pantala.

Znany jest fakt, że wykorzystuje się również satelity do stałego śledzenia tych fragmentów wielkich akwenów, na których mogą wylaniać się z wody ląchy mielizn czy stożki skał. Kapitanowie samolotów przelatujących nad rejonami podwodnych wulkanów mają obowiązek natychmiastowego meldowania o zaobserwowanych zmianach na powierzchni oceanów. Kilka lat temu dzięki meldunkowi jednej z załóg japońskich prowadzącej samolot na trasie Tokio-Guam został odkryty wierzchołek podwodnego wulkanu o wysokości 2.500 metrów, niedaleko wcześniej odkrytej wulkanicznej wyspy Nisini-jima.

Gdy tylko odkryje się i zaznaczy na mapie punkcikiem „nowe terytorium”, niezwłocznie przyłącza się je do obszaru państwa. Ceremonia przejmowania, takich wysepki ma zwykle charakter oficjalny, a zarazem częstokroć groteskowy. Uroczystość ogłoszenia panowania brytyjskiego nad nawo odkrytą wyspą Rockall na Atlantyku (wielkość kortu tenisowego) polegała na tym, że wylądował tam helikopter z dwoma żołnierzami piechoty morskiej i naukowcem-ornitologiem, którzy zatknęli flagę, ustawili tablicę z odpowiednim napisem i odpiewali: „Good save the Queen”.

Rekordem absurdu było jednak ustanowienie przez pewną amerykańską fundację grupującą szczególnego rodzaju utopistów, państwa na... palach. Otóż nie dysponując niezależnym terytorium, wybrali na Południowym Pacyfiku rafę koralową znajdującą się metr pod wodą, wbili pale i po wzniesieniu na nich budowali, zawiesili flagę Republiki Minerwy. Dowiedziawszy się o tym, władca polibskich wysp Tonga wysłał kilku uzbrojonych mężczyzn, którzy zerwali flagę i zniszczyli „obiekty” państwa Minerwy.

KRÓLESTWO WYSP

Wprawdzie każda wysepka, nawet bezludna, ma znaczenie dla kraju (możliwość ogłoszenia 200 milowego obszaru ochronnego), to jednak główny problem w stosunkach międzynarodowych stanowi sprawa setek i tysięcy wysepki zamieszkałych i rozrzuconych w sztucznie wyznaczonych w okresie kolonialnym rejonach oceanów. Wśród ludności tych obszarów niekiedy dopiero wychodzącej z fazy bytu plemiennego, gwałtownie kiełkuje, choć niezależnie od obcej zależności i budzą się aspiracje samostanowienia o swym losie.

Rzecz jasna, kwestia przyznawania niepodległości małym wysepkom budzi kontrowersje. Czy jednak możliwa jest likwidacja resztek kolonializmu w innej formie niż poprzez tworzenie mini-państw? Zresztą wielkość obszaru nie zawsze jest zasadniczym czynnikiem egzystencji. Doniosłe znaczenie mają także warunki geograficzne jak klimat, gleby i bogactwa naturalne. Są duże państwa, choćby Mauritania, których obszary gospodarcze ogranicza-

a obecnie republika Wysp Kokosowych. Cały ten skrawek ziemi otrzymał swego czasu w dzierżawę od królowej Wiktorii szkocki żeglarz. Jego potomek, Clunnes-Ross, który ogłosił się właścicielem wysp sprawował (do 1955 r.) rządy feudalne: bił własną monetę, wydawał wyroki sądowe, prowadził bank, wyklądał w miejscowej szkole i sprzedawał we własnym sklepie (600 mieszkańców wysp).

Rząd australijski chciał odkupić od Clunnes-Rossa wyspy za 4 mln funtów, gdy jednak ten się nie zgadzał, pod presją ONZ, król został zdeponowany. Obecnie temu państewku pomaga finansowo rząd w Sydney.

TONGA. Utrzymało się natomiast jako państwo niepodległe królestwo Tonga, w którym rządzi król Tupon IV, urzęduje w drewnianym pałacu. Królestwo to, w herbie którego jest

Na początku bieżącego wieku obszary kolonialne zajmowały 72,9 mln km kw i liczyły 529 milionów mieszkańców. Wszczępotężne Imperium Brytyjskie sprawowało kontrolę nad terytorium ponad 100 razy większym niż metropolia, Belgia — nad obszarem 80 razy większym, a Holandia — nad obszarem 59 razy przewyższającym jej macierzyste terytorium.

łódw, liczy 100 tys. poddanych zamieszkałych 159 pacyficznych wysepki.

Ludność utrzymująca się głównie z eksportu kopry i ryb suszonych, żyje w nędzy. Jedynym mieszkańcem posiadającym ukończone wyższe studia do niedawna był sam król. Dwór uważa bowiem, że upowszechnianie oświaty zagrażałoby królestwu... rewolucji.

NAURU. Obecnie państwo o tej nazwie (na południowym Pacyfiku) posiada najwyższy w świecie dochód na jednego mieszkańca: wynosi on 42 tys. dolarów rocznie i jest trzykrotnie wyższy niż w Kuwejcie. Nauru to bogata w

fosfaty wyspa o powierzchni 20 km kw zamieszkała przez 8 tys. mieszkańców (połowa to imigranci).

Nie ma w tym państewku podatków. Elektryczność, telefony opieka lekarska i oświata są bezpłatne. Importuje się dosłownie wszystko, nawet wodę pitną. Choć wyspa ma tylko 19 km dróg bitych, znajduje się tu 2000 samochodów.

Oblicza się, że fosfatów wystarczy już tylko na 20 lat. W związku z tym poważny odsetek dochodów gromadzi się jako rezerwa, dzięki której będzie można częściowo popierać emigrację mieszkańców i częściowo przeznaczyć na rozwój innych gałęzi produkcji na wyspie.

NOWE HEBRYDY. Jest to jedno z najmłodszych i najmniejszych państw — republiką proklamowano w 1980 r. Archipelag Nowe Hebrydy liczący 80 mikroskopijnych wysepki na Oceanie Spokojnym, obejmuje także wysepkę Espiretu Santo, która stała się głośną z rebelii jakiejkolwiek dokonał tu jeden z plantatorów. Przy poparciu amerykańskiej fundacji Phoenix utworzył „idealne państwo” Vemarany — bez rządów i ustawodawstwa. Interwencja zbrojna sił angielskich pozwoliła „zintegrować” Nowe Hebrydy.

To byłe kondominium brytyjsko-francuskie jest ogromnie zróżnicowane pod względem etnicznym i na domiar — jak w tyglu — skupiają się tu różne poglądy polityczne. Spór dotyczy zwłaszcza przyszłych losów państwa, w tym kwestii wykorzystania bogactw naturalnych — są tu pokłady magnezu eksploatowane przez zagraniczne koncerny.

RESZTKI KOLONIALIZMU

Podobnych państw i różnego rodzaju terytoriów o liczbie ludności od 100 do jednego miliona jest — według statystyk ONZ — ponad 90. Ale tylko trzecia ich część zdobyła suwerenne prawa — większość dopiero oczekuje dnia proklamowania niepodległości. Wymaga tego sprawa likwidacji resztek kolonializmu i przyjęta przez ONZ słuszną zasadą, że każda społeczność ma prawo wybierania sobie

takiego statusu jaki uzna za najbardziej mu odpowiadający.

A oto spuścizna kolonialna, która wciąż przypomina o dawnych imperiach i z którą świat powinien się uporać.

AZJA. Kolonie posiadają tu tylko: Wielka Brytania — Hongkong i Portugalia — Makao. Obydwie znajdują się na terytorium Chin, stając dla tego mocarstwa handlowe „okna na świat”. Gdyby nie ta funkcja Hongkongu

W 1900 roku, w wyniku imperialnego podziału świata, na planecie znajdowało się tylko 55 niepodległych państw (Europa — 23, Azja — 9, Afryka — 3, Ameryka — 20).

Dezintegracja wielkich jednostek politycznych rozpoczęła się jeszcze przed I wojną światową. Złożył się na to głównie rozpad kilku organizmów wielonarodowych w tym zwłaszcza Austro-Węgier, imperium osmańskiego i carskiej Rosji. W 1923 roku były już 73 państwa.

Prawdziwą eksplozję nowych państw notuje się po II wojnie światowej. Wskutek rozwoju ruchów narodowo-wyzwoleńczych, zwłaszcza na kontynencie afrykańskim i azjatyckim, już w roku 1962 zanotowano 126 państw. Obecnie statystyka rejestruje istnienie 178 suwerennych jednostek politycznych.

i Makao, Chińczycy dawno zajęliby kolonialną enklawę. Brytyjska „dzierżawa” Hongkongu upływa w 1997 r., dotychczas jednak brak oficjalnych wypowiedzi ze strony Pekinu co do dalszych losów tego obszaru.

AFRYKA. Poza rozległym terytorium Namibii, które jest bezprawnie zajmowane przez RPA, szacunkowymi koloniami są dwie hiszpańskie enklawy znajdujące się na obszarze Maroka — Ceuta i Melilla. Swego czasu rozwinęły się „ruchy wyzwolenicze” na Wyspach Kanaryjskich i na Azorach, wydaje się jednak wątpliwe, aby w przyszłości te archipelagi mogły się oderwać od swych metropolii.

AMERYKA ŁACIŃSKA. Spór na tym subkontynencie toczy się o przyszłość Belize, czyli Brytyjskiego Hondurasu. Londyn był już skłonny przyznać niepodległość kolonii, buńczuczne jednak zapowiedzi aneksji tego terytorium przez Gwatemalę, sprawiły że ludność Belize woli pozostać pod „parasolem brytyjskim”.

Ponadto na wschodnim wybrzeżu subkontynentu znajduje się, we władaniu Francji, Gujana Francuska; korzysta ona z praw departamentu.

EUROPA. W spadku po kolonializmie pozostał na naszym kontynencie problem Gibraltaru. Hiszpania i W. Brytania wielokrotnie podejmowały w tej kwestii rozmowy, nie przynoszą one jednak żadnych rezultatów.

OCEAN SPOKOJNY. Amerykanie, którzy sprawują powiernictwo nad Mikronezją (2,141 wysp), w większości nadały archipelagom status „państw stowarzyszonych”; są to w znacznej części wyspy o znaczeniu strategicznym dla USA. Na niepodległość m. in. oczekują Nowa Kaledonia, Polinezja Francuska oraz Wyspy Wallis i Futuna.

OCEAN INDYJSKI. Nie jest rozwiązana sprawa wysp Reunion oraz Mayote. Te ostatnie Komory uważają za integralną część swego państwa — jest ona we władaniu Francji.

ATLANTYK. Szereg wysp u wybrzeży Ameryki nadal znajduje się pod panowaniem brytyjskim, francuskim i holenderskim.

JAKA PRZYSZŁOŚĆ?

Duża liczba mini-państw i perspektywa powołania co najmniej 40 dalszych takich małych organizmów państwowych, budzi w ONZ, gdzie w czasie głosowania jednakowo jest ważny głos tych wielkich i tych małych, dyskusje i spory. Zwalczają Stany Zjednoczone wytykają iż ich wkład do budżetu ONZ wynosi 25 proc., podczas gdy cztery piąte liczby członków wpłaca tylko 2 proc. i że często właśnie te małe państwa podejmują czy wspierają rezolucje nieprzychylnie zachodowi.

Państwa Trzeciego Świata, i nie tylko, stanowczo opowiadają się przeciwko jakimkolwiek zmianom obecnych zasad przynależności do ONZ. Ich zdaniem równość na forum Zgromadzenia Ogólnego NZ symbolizuje pełną suwerenność państw, a szczególnie tych, które powstały i powstały w wyniku likwidacji kolonializmu. Obrona pozycji małych państw w ONZ wynika też z faktu, że duże kraje Trzeciego Świata mają w nich niezawodnych sprzymierzeńców — tworzy się w ten sposób międzynarodowy front państw rozwijających się, front, który odgrywa coraz większą rolę w kształtowaniu opinii światowej i który coraz silniej wywiera presję na bogate państwa kapitalistyczne. Przykładem jednolitego stanowiska tych dużych i najmniejszych państw Trzeciego Świata były rezolucje w kwestii rozbrojenia, rezolucje potępiające Izrael za aneksję obszarów arabskich czy domagające się ostrych sankcji wobec RPA za politykę apartheidu i odmowę przyznania niepodległości Namibii.

Miniaturowe państwa, jak San Marino, Monako, Andora czy Liechtenstein utrzymywały się mimo wielu wojen zaborczych przez wieki. Przetrwanie mogą zawdzięczać tolerancji ze strony dużych organizmów państwowych i oczywiście własnej zaradności polegającej głównie na umiejętnym wykorzystaniu środowiska. Obecnie czasy jeszcze bardziej sprzyjają honorowaniu państwowości. Miara kultur narodów i miara postępu cywilizacji powinno być właśnie pełne zrozumienie, że każda społeczność bez względu na to na jakim znajduje się etapie rozwoju może tworzyć ramy państwowe i kształtować w nich swój niezależny byt.

Wciąż powiększają się dysproporcje w rozmiarach państw. Obok wielkich, siedmiu krajów — ZSRR, Kanada, ChRL, USA, Brazylia, Australia i Indie, które łącznie obejmują 52 proc. powierzchni lądów (kraje o powierzchni powyżej 3 mln km kw.), są i te mini-organizmy, państwa. Do najmniejszych pod względem powierzchni i ludności należą państwa: Watykan, Seszele, Nauru, Kirebati, Tuvalu.

Wciąż powiększają się dysproporcje w rozmiarach państw. Obok wielkich, siedmiu krajów — ZSRR, Kanada, ChRL, USA, Brazylia, Australia i Indie, które łącznie obejmują 52 proc. powierzchni lądów (kraje o powierzchni powyżej 3 mln km kw.), są i te mini-organizmy, państwa. Do najmniejszych pod względem powierzchni i ludności należą państwa: Watykan, Seszele, Nauru, Kirebati, Tuvalu.

Mini-państwka, których tak wiele powstało w ostatnich latach, doświadczają smaku wolności, ale i tych bolączek, które zwykle niesie ogromne zacofanie gospodarcze.

MALEDIWIY. Republika o tej nazwie to łańcuch atolów, w skład którego wchodzi 211 zamieszkałych wysepki; położone są one na południe od Indii. Ludność (ponad 100 tys.) utrzymuje się w zasadzie tylko z rybołówstwa. Wapienne pochodzenie gleby uniemożliwia prowadzenie upraw — rosną tu co najwyżej drzewa chlebowe i palmy kokosowe. Do dziś połowy ryb odbywają się w taki sam sposób jak setki lat temu. Podstawowym artykułem eksportowym jest tzw. „ryba malediwska” czyli suszony tuńczyk.

W republice malediwijskiej nie istnieją żadne partie polityczne. Głowa państwa jest prezydent. Choć kraj ten jest tak mały, aktywnie uczestniczy w ruchu państw niezależnych.

WYSPY KOKOSOWE. Na dwu niewielkich atolach znajdujących się w odległości 2 tys. mil od Australii leży byłe prywatne królestwo.



Upalny dzień w Banjulu

(Korespondencja z Gambii)

(Dokończenie ze str. 1)

GAMBIA leży w zachodniej Afryce wzdłuż dolnego i środkowego biegu rzeki Gambii. Graniczy z Senegalem. Na obszarze 11,3 tysięcy km kwadratowych zamieszkuje przeszło pół miliona ludzi. W większości — około 80 proc. — są to wyznawcy islamu, w mniejszości — animizmu i chrześcijaństwa. Jest to kraj o słabo rozwiniętym rolnictwie. Językiem urzędowym w Gambii jest język angielski. Jednostką monetarną: dalasi, która dzieli się na 100 bututów.

W 1455 r. Gambią zainteresowali się Portugalczycy. Lądowali tu też kupcy angielscy, którzy w 1588 r. kupili od Portugalczyków prawa do handlu na obszarach wzdłuż rzeki Gambii. Z kupcami angielskimi na tym terytorium rywalizowali kupcy holenderscy i francuscy. W 1651 roku Anglii, aby kontrolować teren swoich kupieckich zainteresowań, wybudowali fort u ujścia Gambii do Oceanu Atlantyckiego. W 1783 roku Francja uznała prawa Anglii do terytoriów nad rzeką Gambią. Kolonią angielską Gambia stała się dopiero w 1816 r., a w 1821 r. — weszła w skład Sierra Leone. Po 1845 r. staje się odrębną kolonią angielską. W 1904 r. ustalono granicę między angielską Gambią a francuskim Senegalem.

Po drugiej wojnie światowej w Gambii nasilają się ruchy wyzwolenicze, powstają partie polityczne i związki zawodowe. Anglia stopniowo udziela swobód politycznych, a w 1965 r. Gambia otrzymuje niepodległość. Staje się też członkiem ONZ.

Reportażem z Gambii rozpoczynamy druk relacji Andrzeja Makowieckiego z jego afrykańskiej podróży, którą odbył latem 1981 r.

Ich w końcu sporo, lepiej nie wspominać. Można tu najwyżej dorzucić, że większość gambijskich urzędów też gnieździ się w okropnych budynkach. Taki chociażby Wysoki Sąd, albo Ministerstwo Pracy; to ostatnie nie ma w Gambii specjalnych perspektyw, jako że poza okazjonalnym zajęciem w porcie, o żadnej zorganizowanej pracy nikt tutaj nie słyszał. Regularne pensje i regularny zółd pobierają tylko ludzie zatrudnieni w nielicznych instytucjach państwowych oraz celnicy, wojsko i policja. Reszta mężczyz: radzi sobie jak kto może — jedni wyprawiają się ferą na drugi brzeg rzeki, żeby szukać pożywienia w buszu, inni krążą jak dzieńta długi po zatłoczonym bazarze, który przypomina labirynt w jakimś skarłatym, toczonym zarazą miasteczku z bajki-straszki. Można tu wytargować garstkę ryżu, butelkę coca-cola. Dwie pomarańcze i trzy paczki papierosów wystarczą, aby otworzyć stoisko, a warsztaty rzemieślnicze służą równocześnie właścicielom za mieszkanie.

W Banjulu, w innej części miasta, był niedawno jeszcze jeden bazar, na którym sprzedawano wyroby ludowe — maski, dzidy, lance, naszyjniki. Podobno kryli się tam rebelianci, wojsko przypuściło szturm i teraz, na opustoszałym placu, możesz tylko zobaczyć rumowisko rozwalonych straganów.

Ślady walk widać również na niektórych budynkach — tu uszkodzony granatem fronton hotelu, tam podziurawiony kulami salonik „Renault” z roztrzaskanym neonem, który zwiłsa smętnie nad wyboistą uliczką.

Oto obraz gambijskiej stolicy, nie większej od powiatowego miasta w Europie. Rysuje ten obraz, aby przedstawić właściwe tło rozruchów. Na murach oficjalnych urzędów, takich jak siedziba Rady Ministrów czy poczta, wiszą wciąż, drukowane w języku angielskim, plakaty z tekstem i zdjęciami ukazującymi przebieg wydarzeń. O wydarzeniach tych mało pisano w Polsce, nie licząc lakonicznych, sprzecznych zresztą ze sobą informacji papowskich, dlatego też nie od rzeczy będzie przedstawić je w chronologicznym porządku.

2

W CZWARTEK, 30 lipca 1981 roku, o godzinie piątej nad ranem, w chwili, kiedy legalny prezydent Gambii, sir Daouda Karaba Diawara, przebywał w Londynie na uroczystościach zaślubin księcia Karola, nieznany bliżej cywil, Kukoi Samba Sanyang, na czele małej grupy oficerów sił lądowych (jedyną uzbrojoną formacją w tym kraju), ogłosił oficjalnie przejęcie władzy. Wykorzystując element zaskoczenia, rebelianci błyskawicznie zajęli punkty strategiczne miasta — radio, port lotniczy, pocztę, policję. W walkach ulicznych było wielu rannych i wiele osób spośród ludności cywilnej poniosło śmierć. Radio gambijskie nadawało komunikaty wzywające lekarzy i pielęgniarki do stawienia się w stołecznym szpitalu. Ogłoszono, iż utworzyła się dwunastoosobowa Rada Rewolucyjna (trzech wojskowych i dziewięciu cywilów związanych z Socjalistyczno-Rewolucyjną Partią Pracy), której celem jest wprowadzenie dyktatury robotniczej; zakazano zamknięcie wszystkich urzędów państwowych, zawieszono działalność partii politycznych i instytucji finansowych. Tego samego dnia, w Londynie, prezydent Diawara oświadczył, iż natychmiast wraca do kraju, aby pokonać rebelię.

PIĄTEK. Wczesnym rankiem prezydent Diawara ląduje na lotnisku w Dakarze (stolica Senegal) i w trakcie konferencji prasowej oznajmia, że w myśl zawartej między obydwojma krajami umowy o bezpieczeństwie i obronie poprosił Senegal o interwencję zbrojną. Oświadczył również, że legalny rząd nie został obalony, a większość żołnierzy i wyższych oficerów pozostaje mu wierna. Co do Kukoi Samba Sanyanga i innych przywódców puczu — powiedział, iż nie zna ich osobiście i że jest to z pewnością niewielkie, żadne władzy ugrupowanie usiłujące pogrozić kraj w anarchii. Nie wykluczone zresztą, iż przy udziale sił wrogich z zewnątrz.

W tym samym czasie na terytorium Gambii oddziały sene-

galskie toczyły już walki z buntownikami. Rebelianci zwrócili się z radiowym apelem o pomoc do graniczących od południa z Senegalem: Gwinei Bissau i Gwinei Conakry oraz do Związku Radzieckiego. Apel ten jednak pozostał bez odpowiedzi. W tej sytuacji zaczęli brać zakładników, wśród których znalazło się dziesięć osób narodowości senegalskiej (wraz z pierwszym sekretarzem ambasady senegalskiej w Banjulu, Momarem Falllem) oraz wielu Gambijczyków (również dzieci). Zakładnikiem został brat prezydenta oraz pierwsza jego żona, lady Iilel Diawara, wraz z ośmiorgiem synów i córek. Ogłoszono ultimatum, że jeżeli do godziny 17.00 oddziały senegalskie nie zaczną się wycofywać, zakładnicy zostaną wykonani. Niektórzy zakładnicy, w tym również Iilel Diawara, zostali zmuszeni do wygłoszenia zrecańcowanych wcześniej deklaracji, w których domagali się wycofania obcych wojsk. Te jednak nie zaprzęstały interwencji. Walki toczyły się przez całą noc. Jednocześnie rząd w Dakarze oświadczył, iż akcja sił senegalskich jest legalna i usprawiedliwiona, zgodna z zawartym wcześniej układem o bezpieczeństwie i obronie (1965 rok) oraz z natychmiastową, bezpośrednią prośbą legalnego prezydenta Diawary.

SOBOTA. O świcie oddziały senegalskie wdzierają się do Banjulu, zdobywając szybko poszczególne dzielnice. Odbijają budynki radia, który przed opuszczeniem został przez powstańców zdewastowany. Z Dakaru prezydent Diawara prze-

syła oświadczenie, że rebelianci, którzy się poddadzą, będą traktowani możliwie łagodnie. Z drugiej strony dorzuca pod adresem Kukoi Sanyanga, że uważa go oraz jego współpracowników za osobiście i zbiorowo odpowiedzialnych za życie zakładników, i że jeśli zakładnicy zostaną choćby tknięci palcem, kara będzie totalna i straszna. Apelując do ich zdrowego rozsądku, powiedział, że nie mają żadnych szans; powtórzył, iż są grupą awanturników kierowanych przez siły polityczne z zagranicy, które wyposażyły ich w pieniądze, w broń i przygotowały do przeprowadzenia zamachu. Rebelianci puszczają jednego zakładnika, Seydou Nourou, aby podjął negocjacje z oddziałami senegalskimi.

NIEDZIELA jest dniem decydującym. Budynek główny policji, w którym poprzednio ukryła się znaczna część wierznych rządowi wojsk i policjantów, zostaje przez Senegalczyków oswobodzony. W ich ręce przechodzi także most Denton Bridge, łączący Banjul z kontynentem, dzięki czemu mogą teraz kontrolować wszystkie kluczowe pozycje w mieście. Rebelianci, wraz z zakładnikami, uciekają. Mają ze sobą nadajnik radiowy, co umożliwi im powtarzanie wymuszonych wcześniej na zakładnikach (także na dzieciach) apeli, aby oddziały interwencyjne natychmiast opuściły kraj. Major senegalski ogłasza, że po stronie senegalskiej zginęło dziesięciu żołnierzy, a trzydziestu odniosło rany.

Po południu prezydent Dia-

wara przybywa na lotnisko Yundum pod Banjulem, gdzie witają go między innymi: wiceprezydent Hassan Moussa Camara, członkowie rządu oraz dowódcy zwycięskich oddziałów senegalskich. Prezydent, rozdając wokoło serdeczne uściski dłoni, dziękuje tym pierwszym za lojalność, a tym drugim za męstwo i bezprzykładną odwagę.

I tu w zasadzie kończy się historia gambijskiego puczu.

Wczoraj obydwojmy prezydenci, Abdou Diouf w Dakarze i Daouda Diawara w Banjulu, ponownie zwracają się z postulatami do swoich narodów.

Abdou Diouf, w tonie godnym męża stanu, raz jeszcze usprawiedliwia akcję senegalskich oddziałów, które w sposób „zdecydowany i błyskotliwy” zapobiegły buntowi mogącemu wyrządzić nieopisaną szkodę obu zaprzyjaźnionym republikom.

Ton pana Diawary, zapewne wobec kłeski rebeliantów i oparcia, jakie gwarantowały mu pozostałe w kraju oddziały senegalskie, uległ zdecydowanej zmianie. Słowa (cytuje za dakarską gazetą „Le soleil”) brzmiały teraz brutalnie i ostro. Roilo się od niewybrednych epitetów:

„Rebelia rozpoczęła w naszym kraju poprzez grupę łunratyków i kryminalistów, uzbrojonych i finansowanych przez ich szefów zagranicznych, została definitywnie stłumiona dzięki naszym lojalnym siłom wspomaganym przez wojska senegalskie. Koszmar, w którym w ciągu ostatnich trzech dni został pogrążony nasz kraj,

skończył się, pozostawiając za sobą trupy, destrukcję, nieprzyjemne wspomnienia i lekce, z której trzeba wyciągnąć wnioski. Rebelianci zostali pobici, niektórzy z nich zginęli, inni uciekli i chowają się gdzieś wraz z niewinnymi zakładnikami.

Obywatele Gambijczy! Maski opadły! Wszystkim nam znane są dzisiaj prawdziwe oblicza Kukoi Sanyanga i jego gangu śmiesznych i sadystycznych bufonów. Wiemy, czym są wręczystości — zdradcami, którzy za umiarkowaną sumę gotówi są sprzedać naszą ojczyznę; zgrają bezmyślnych bandytów, którzy nie wahają się mordować cywilów, zatrwać młode umysły oraz porzywać kobiety i dzieci nie mogące się bronić. Jednym z pierwszych ich posunięć było otwarcie centralnych więzień i uwolnienie osobiście skazanych podczas legalnych procesów, które toczyły się przed naszymi trybunałami”.

Ktokolwiek słuchał tego przemówienia, nie miał złudzeń, że nadchodzi czas odwetu.

3

Jedni twierdzą, że zginęło pięć tysięcy rebeliantów, inni, że tylko trzy. Gazety, których zresztą nie kupilem w Gambii, lecz w Senegal, milczą na ten

temat. Tak czy owak, były egzekucje — prawdopodobnie ostre strzelanie na plaży, choć zetknąłem się również z wyszeptaną strachliwie opinią, iż niektórych przywódców puczu ścięto publicznie w centrum miasta. Pokazano mi nawet uliczkę, gdzie rzekomo odbyło się to wstrząsające widowisko: biegnie wzdłuż kompleksu ministerstw, które z kolei przylegają do tyłów pałacu prezydenckiego; z obu stron wejście do niej tarasują żelazne, pilnowane przez wojsko barierki. W pobliżu, zrowu jak u Forsyth, stoi mały kościółek katolicki; kiedy opuszczam go, żołnierz wzywa mnie do siebie władcym gestem. Pyta:

- Skąd jesteś?
- Z Polski.
- Czego tu chcesz?
- Niczego.
- No to spływać!

Rzucam jeszcze okiem w głąb uliczki, gdzie widać zarys trzech niewyraźnego przeznaczenia urzędów. Jedno ma być palem cierpień, drugie stołem, do którego przybija się skazańców dziesięciocalowymi gwoździemi, a trzecie podręcznym szafotem, zdolnym odrąbać głowę z kregami. Oczywiście — nie wierzę.

Jest wrzesień, druga połowa miesiąca. Wciąż obowiązuje godzina policyjna. Nieliczne restauracje afrykańskie świecą pustkami; w świetle lamp nadtowych mężczyźni sączą piwo w porurym milczeniu. Weselo jest za to w luksusowym hotelu Atlantic, wybudowanym przez Brytyjczyków na ich własny użytek. Sunny boys potraszają w klimatyzowanych salach szklankami z lodem; cziewczyły w jednoczesnych bikini kąpią się w błękitnym basenie. Niektóre są piękne. Kiedy wychodzą z wody, kropie iskrzą się na ich piersiach, jak diamenty, a mały tubylec przelżyka z wrażenia ślinę. W czarnym kajku, pod rządami czarnego prezydenta, Murzyn może być tu jedynie pilnowaczem lub sługą.

Naprzeciwi szpitala jest internat dla pielęgniarek. W oknach tego pierwszego widać wynędzniałe twarze pacjentów, na dziedzińcu drugiego poleguje wojsko. Żołnierze senegalscy zajęli zresztą kilka krznych, najładniejszych w mieście budynków.

Bramki piłkarskie na centralnym stadionie zostały rozebrane, tak, jakby i tam, za poprzeczką, mógł przycupnąć spiskowiec. Mecz ligowy toczy się zatem raż innym, peryferyjnym boisku. Zawodnicy występują w koszulkach i bez koszulek, w trampkach, w korkach i boso. Jeśli akcja przenosi się pod jedną z bramek, to po drugiej, wolną chwilowo, mały rozgrywa swój własny mecz. Obok jest zajezdnia autobusów, które, choć puste i w bezruchu, ryczą i smrodzą okrutnie — rzecz o tyle dziwna, że z braku paliwa stoją w mieście wszystkie pozostałe pojazdy.

W porcie ghański drobnicowiec „Tropik” ustąpił miejsca grekiemu gruchotowi „Mari Filip”. Słychać marynarski śpiew, na sznurkach pokładowych trzępczą gacie. Tymczasem robotnicy portowi pracują dwadzieścia cztery godziny na dobę, jak kulisi. W parnym, gęstym, niezdrowym powietrzu błyszczą ich spoczone, czarne grzbiety; rzucają się po pięciuście na jeden worek cementu i dźwigają go wspólnymi siłami na platformę ciężarówką. Czasami któryś przerywa robotę i przyklekając twarzą do wschodu wali łbem Allahowi.

Właśnie w tym porcie przed paroma miesiącami zagraniczny statek wyładował sześćdziesiąt samochodów oraz wiele skrzyń z bronią i amunicją. Jak to się stało, że cały ten sprzęt, wraz z manifestem przewozowym, mógł zniknąć bez śladu? Co robili w tym czasie celnicy i służba bezpieczeństwa? Na pytania te nie potrafił odpowiedzieć do dzisiaj nawet pan prezydent Diawara.

Fakty jednak dają do myślenia. Trudno się dziwić, że małeńka Gambia, werżnięta klinem w znacznie większy od siebie Senegal, zgodziła się na federację obu tych państw.

Tak powstała, nie wiaćomo tylko na jak długo, nowa afrykańska republika — Senegambia.

ANDRZEJ
MAKOWIECKI

ODGŁOSY 11



W Japonii nie ma zwyczajów prawa

W pogodny bezchmurny ranek 9 lutego samolot typu „DC 8”, należący do Japońskich Linii Lotniczych (JAL) wpadł do morza w Zatoce Tokijskiej, tuż przed miejscem, dokąd docierają betonowe pasy startowe na lotnisku Haneda. 24 osoby poniosły śmierć. W kilka dni później Yasumoto Takagi, prezes JAL, rozpoczął pielgrzymkę uznawaną w Japonii za powinność szefa każdej firmy, która ma coś wspólnego z taką tragedią. Odwiedził większość rodzin ofiar katastrofy. Kajał się wylewnie. Modlił się na klęczkach przed buddyjskimi ołtarzami żałobnymi w domach rodzin pogrążonych w smutku.

Pilot Seiji Katagiri poprzednio miał „zaburzenia psychosomatyczne” i nalegano na niego, aby poszedł do psychiatry. A po katastrofie pojawiły się wątpliwości, czy towarzystwo lotnicze powinno być dopuścić Katagiri do sterów samolotu. A jednak nikt z krewnych pasażerów, którzy zostali zabici, jeszcze nie pozwolę JAL do sądu. I jest nieprawdopodobne, by ktoś później wystąpił z powództwem. Rzecznik JAL, James Weatherly stwierdza:

— Gdyby rzecz się zdarzyła w Stanach Zjednoczonych, dostalibyśmy zapewne pozwody opiewające na miliony dolarów. Ale tutaj ludzie nie prawują się.

Do tej pory w USA wniesiono do sądów 12 pozwów po tym, jak samolot typu „Boeing 737” towarzystwa Air Florida uderzył w most i spadł do rzeki Potomac 12 stycznia 1982 roku, w kilka sekund po wystartowaniu z warszawskiego lotniska National Airport.

Tadashi Yamamoto, dyrektor Japońskiego Ośrodka Kontaktów Międzynarodowych, oświadczył:

— Nasze społeczeństwo nie lubi sporów sądowych, nie jest pieniackie.

Porównywanie liczb pozwów, wnoszonych do sądów w różnych krajach, jest z góry skazane na niedokładność. Jednak statystyki oficjalnie wykazują, że w 1979 roku wszczęto w Japonii 160.000 spraw z powództwa cywilnego, podczas gdy w Stanach Zjednoczonych było takich spraw kilka milionów. W USA jest około pół miliona prawników, a Japonia ma ich ponad 10 tysięcy, mimo, że liczba jej ludności sięga połowy tej, jaka znajduje się w Stanach Zjednoczonych. Fakt, że powództwa cywilne zdarzają się w Japonii rzadko, uchodzi za zwykłą zaletę gospodarki tego kraju. Mawia się, że Japończycy nie tracą mnóstwa czasu, pieniędzy i energii na pozywanie jeden drugiego, a za to ogniskują swoje wysiłki wokół przeciśnięcia innych krajów w produkcji towarów.

W swojej ostatniej książce pt. „Społeczność pieniacka”, Jethro K. Lieberman, dziennikarz, który ukończył Wydział Prawa w Harvardzie, pisze:

„Pieniactwo jest zjawiskiem nie prawnym, lecz społecznym. Rodzi się z rozdarcia więzi wewnątrz danej społeczności — rozdarcia, które wiedzie do zbyt wybujałego rozrostu norm prawnych i samo jest przez ten rozrost spowodowane. Jednak dopóki nie ma powszechnej zgody co do podstawowych zasad, dopóty nie może być owego wzajemnego zaufania, niezbędne dla społeczności, która zdolna jest samoczynnie utrzymać u siebie ład”.

Ta powszechna zgoda co do podstawowych zasad istnieje w wysokim stopniu w Japonii. Praktyka i obyczaje prawne są też odbiciem

społecznego systemu wartości — jak twierdził waszyngtoński prawnik, Carl J. Green, specjalizujący się w japońskim systemie prawnym.

W Japonii — mówi Green — najwyższej ceni się harmonijne stosunki wewnątrz społeczności, a do sądu ludzie idą dopiero wtedy, gdy nie ma już innego wyjścia. W Stanach Zjednoczonych prawa jednostki stawia się na pierwszym miejscu i sala sądowa jest głównym forum, na którym rozsądza się wzajemnie, przeciwstawne rozstrzygnięcia jednostek ludzkich. Bylibyśmy niezadowolony z systemu japońskiego.

Odszkodowania ustala się w Japonii zazwyczaj w toku negocjacji prowadzonych z pominięciem sądu. Przykład: poprzednia poważna katastrofa samolotu JAL 27 września 1977 roku w Kuala Lumpur, gdzie poniosły śmierć 33 osoby. Nie wniesiono żadnego pozwu. Natomiast towarzystwo lotnicze i rodziny ofiar odbyły prywatne konsultacje w celu ustalenia odszkodowań.

Japońska ustawa o odszkodowaniach, która wygasa w kwietniu, określa ich pułap kwotą równą 140.000 dolarów (po obecnym kursie jena) za każdą śmiertelną ofiarę wypadku samolotowego. Jednak towarzystwo lotnicze JAL dało już do zrozumienia, że niekoniecznie będzie ograniczać odszkodowanie do tej kwoty — mimo, że katastrofa zdarzyła się przed kwietniem. Rzecznik JAL, James Weatherly, oświadcza:

— Wszystko jest do dyskusji. Oto, jak się załatwia sprawy w tym kraju.

Negocjacje nie mogą się zacząć, zanim prezes JAL nie skończy swych wizyt kondolencyjnych. W odczuciu społecznym przedsiębiorstwo japońskie ponosi — w razie katastrofy — odpowiedzialność prawną i moralną. Rzecznik Ministerstwa Spraw Zagranicznych (rząd ma 40 proc. kapitału JAL), Shohei Naito, stwierdza:

— Jeśli główny szef firmy wykaże poczucie tej moralnej odpowiedzialności, to najprawdopodobniej dużo bardziej gładki przebieg będą miały negocjacje o odszkodowanie.

Jednak nawet w Japonii system wynegocjowywania ugody zawodzi czasem. Dla przykładu: mówi się tu, że do wystąpienia na drogę sądową zdecydowała się grupa krewnych ofiar pożaru hotelowego, który zdarzył się 8 lutego. Jak się zdaje, w hotelu w jaskrawy sposób pogwałcono przepisy przeciwpożarowe. Największy rozgłos miał w Japonii proces o odszkodowania dla ofiar zatrucia ręką w mieście Minamata (na Kiusiu, najbardziej południowej wyspie Archipelagu Japońskiego). Zatrucie wywołane zostało odpadami chemicznymi usowanymi do morza przez firmę Chisso Corp. Pierwsze ofiary pojawiły się we wczesnych latach pięćdziesiątych. Ale sprawa ciągnęła się aż do lat siedemdziesiątych i ostatecznie znalazła finał w sądzie, który przyznał ofiarom odszkodowanie. Profesor prawa na Uniwersytecie Tokijskim, Koichiro Fujiura, oświadcza:

— Firma gwałtownie odrzuciła oskarżenia o winę. A cierpienia ofiar były inne, niż te, jakie poprzednio znano. To wykraczało poza zwyczajne. Właśnie dlatego skończyło się sądem.

STEVE LOHR
(„International Herald Tribune”)

„Gdy pewnego razu — było to w dzień jej urodzin — wyszła do jego pokoju, trzymała w ręku prezent dla niej: tomik liryków perskich. Twarz jego była bardziej ożywiona niż zwykle. Z wesołym uśmiechem tłumaczył jej perskie poezje miłosne. Nie zauważył jednak w roztrąceniu, że deklamuje je nie w swoim ojczystym języku niemieckim, lecz innym, którego nie znała. Uśmiechała się jednak z wdzięcznością”.

Jej mąż — Emil Krebs (1867—1930), fenomenalny poliglota znający 90 języków miał, jak większość geniuszy, różne słabości i śmieszności. Podczas jakiejś bibiki ktoś rzucił cytaty z Goethego, Krebs zasiadł i nie wstał, póki nie przełożył tego zdania na 40 języków azjatyckich, m. in. pismem klinowym. Wydano to potem w postaci książeczki. Nie było na świecie języka, który by go nie interesował. Był opętany pasją do ich poznawania, uczył się bardzo szybko, pracując stale do trzeciej w nocy i nie rozstając się z książką. Jego geniusz, podobnie jak większości poliglotów, przeminął, nie zostawiwszy trwałego śladu. Krebs realizował własne „hobbystyczne” cele, a jego społeczna użyteczność ograniczała się głównie do pracy tłumacza dyplomatycznego.

Inną „chodzącą Wieżą Babel” o nazwisku Giuseppe Mezzofanti zachwycił się lord Byron: „Mezzofanti jest fenomenem językowym (...), który powinien być żył w czasach wieży Babel, aby być wówczas tłumaczem (...). Badalem jego znajomość wszystkich języków, w których znałem choćby tylko jakieś przekleństwo lub zaklęcie i, na Boga, okazało się, że nawet mój język ojczysty zna lepiej ode mnie”.

Mezzofanti stanął w swoim czasie jedną z turystycznych atrakcji Rzymu i wiele osób przejeżdżających przez Rzym pragnęło go zobaczyć i usłyszeć. Gdy został kardynałem, składało mu gratulację czterdziestu trzech biskupów z całego świata, a on każdemu z nich odpowiadał w jego języku. Władaty biegle 29 językami, rozumiał około 60, czyli razem aż 89. Inne źródła szacują to skromniej na 76 języków. Dwa biografowie Mezzofantiego — C. W. Russel i A. Belleshine — przypisują mu czynne opanowanie 56 języków, z których 30 mówił często i z wielką doskonałością — co było sprawdzone. Wśród nich znalazły się albański, amharcki (w Abisynii), angielski, angiolski, arabski, armenijski, aramejski, chiński, chaldejski, celtycki, duński, hiszpański, francuski, nowogrecki i starogrecki, gruziński, hebrajski, rabinański, hindustani, holenderski, irlandzki, katalański, maltański, mongolski, niemiecki, norweski, polski, perski, samarytański, sanskryt, słoweński, szwedzki, tatarski, turecki, włoski, węgierski.

Wśród poliglotów XX wieku znalazł się także m. in. Polak Andrzej Gawroński. W posmiertnej notatce o nim, zamieszczonej w jednym z dzienników w maju 1928 roku czytamy: „Pytali go - wielokrotnie przyjaciele i koledzy — „ile ty, Andrzeju, znasz języków?” Uchylił się skromnie od odpowiedzi mówiąc: „nie liczyłem”. Kiedys jednak przycisnięty zbyt natargliwie, przyznał się z zawstyżeniem: „mówię i piszę w czterdziestu językach, rozumiem zaś i czytam około stu”. Znał więc prawie 140 języków. Znał wszystkie żyjące i martwe europejskie, nawet najdrobniejszych narodów i szczepów, znał większość azjatyckich, zarówno żywych, jak i martwych. Obojętną mu rzeczą było mówić już to po fińsku, po bengalsku, po grecku, czy w sanskrycie, znał również dobrze wygastę dialekty celtyckie, jak stare narzecza Indii sprzed Chrystusa”. Poliglotyzm Gawrońskiego był legendarny i jak słusznie interpretuje Witold Paweł Cienkowski w książce przedstawiającej najwybitniejszych poliglotów, po których pozostały jakieś wiadomości — legenda spleciona z anegdota unadziwiewia ich niepospolite postacie. Byli to ludzie władający, a może żonglujący jak piłkami — dziesiątkami języków. Dość nieciekawie na tle dokonani Gawrońskiego wygląda przeciętny Polak, dla którego dobre opanowanie choć jednego języka jest żmudną, nudną i często nie zakończoną pomyślnie pracą. Cóż dopiero mówić w naszej współczesności o poliglotach. Czy istnieją dzisiaj? A jednak...

FASCYNUJE MNIE DŹWIĘK

ROMAN CHLOSTA: — Uczę niemieckiego w Akademii Medyce w Łodzi. Władam dobrze obcym językiem znaczący dla mnie mówić w tym języku o swoim zawodzie i hobby, ale też mówić o zawodzie innego człowieka i jego hobby. Oznacza to również przyjęcie osobowości, tonacji głosu, gestykulacji ludzi, których języka się uczę. Jest to niemożliwe bez osobistych kontaktów z nimi, bez poznania ich historii, geografii, obyczajów i kultury. Interesują mnie języki użyteczne i jako samouk oraz praktykujący lingwista zajmuję się nimi. Pomaga mi w tym moje l'oreille fine, czyli — jak je nazywam — delikatne ucho. Uważam, że właśnie umiejętności lub raczej zdolność dorego słyszenia doskonale pomaga w nauce języków obcych. To jest mniej więcej tak, jak mieć dobry słuch przy nauce śpiewu. Mówić w obcym języku jest o

umiejętność zawiera się w granicy tolerancji błędów. On jest zrozumiany, jednak popełniając dużo błędów nie pozostaje w zgodzie z teorią lingwistyczną. Samo „znanie” 20 języków nie daje przyjemności, pozostaje w tym tylko wartość ilościowa, a nie merytoryczna.

NAJWAŻNIEJSZY JEST PRAJĘZYK

IGNACY DANKA: — Znajomość kilkudziesięciu języków nie imponuje mi. Z krwi i kości językoznawca nie jest poliglota, a człowiek mówiący wieloma językami przypomina mi papugę. Operowanie różnymi zwrotami po to, aby się porozumieć w hotelu, na ulicy czy w towarzyskiej wymianie nieważnych informacji jest paplaniną. Do języków, którymi władam, lub władałem należą m.in.: angielski, niemiecki, rosyjski, esperanto, indoeuropejski, łacina, greka, włoski, bierny francuski, niderlandzki, afrikaans, sanskryt, hindii, cygański, hiszpan-

EWA KAFARSKA

Poligloty

wiele łatwiej, niż rozumieć go. Ten dobry słuch jest — według mnie — niezbędny, aby rozróżnić style, idiomy, czy wtrącane często w mowie potocznej dialekty. Bo tylko tak pojmując prawdziwą znajomość języka: gdy nic w nim nie jest w stanie mnie zaskoczyć. O wiele łatwiej na przykład mogę się nauczyć piosenki czy wiersza np. po fińsku, niż po polsku. Fascynują mnie obce dźwięki, ich intonacja i inny niż w ojczystym języku sposób brzmienia. Mówię biegle i rozumiem niemiecki, angielski — w szkole nauczyłem się francuskiego i łaciny. Byłem wielokrotnie tłumaczem fińskiego, węgierskiego, rosyjskiego. Znam hiszpański, włoski i szwedzki. Ostatnio zainteresowałem się językiem arabskim. W kilku innych porozumiem się dość swobodnie, np. po duńsku. W nauce języka nie trzeba być zachlanym, ale uczyć się bez przerwy, nie tracąc ani jednego dnia. Wystarczy codziennie 15 minut nauki. Uczę się 2 lub 3 słówek, odchodzę, zostawiam wszystko, a po dłuższej chwili koncentruję się na rozszerzeniu wiedzy o tych nowych wyrazach, umiejscawiając je w kontekście. Uznaję interpretację logiczną, a nie gramatyczną. W dalszej fazie nauki niezbędne jest kojarzenie znaczeniowe.

Czy jestem poliglota? Na pewno nie. Nie miałem też szczęścia poznać poligloty. A szkoda — miałbym okazję sprawdzić swoją teorię o tym, że nie sposób nauczyć się mnóstwa języków przy mojej metodzie dogłębnego, dalekiego poznania języka niemalże od duszy człowieka, posługującego się nim od dziecka. Dla mnie ważne jest wszystko: gestykulacja cudzoziemca, którego językiem się zainteresowałem, sposób bycia, charakterystyczne zachowania, mimika, nawet wygląd zewnętrzny. Gdy więc mówię po fińsku, staram się naśladować Finów. Są oni z natury dosyć nieśmiały, mało-mówni, skupieni i niezbyt energiczni. Gdy występują przed większym gronem osób, splatają na przykład ręce z przodu, patrzą w dół, nie gestykulują, nie robią min i niepotrzebnych ruchów głową. Mówią cicho.

A teraz gdyby przyszło mi nagle zacząć mówić po angielsku, natychmiast rozluźniłbym się, zatknałbym może kciuki za kamizelkę, zacząłbym się przechadzać, mówić głośno i z nonszalancją. Po francusku natomiast należałoby się często uśmiechać, mówić pewnie „cała twarzą” i ... przy pomocy rąk. Zbyt dużo wkładam zaangażowania w używanie obecnego języka, abym uwierzył, że ci wszyscy sławni dziedzielnastwieczni poligloty posługują się 50 językami, robili to tak, jak sobie wyobrażam.

Ten, który zna 20 języków na pewno jest człowiekiem zdolnym i utalentowanym, ale jego

ski, rumuński, norweski, duński, litewski. Założyłem sobie kiedyś, że po opanowaniu 40 języków nie będę się więcej ich uczył. Zrezygnowałem z tego na korzyść utrzymania nabytych umiejętności. Zresztą nawet na to nie wystarczy mi czasu. Jestem adiunktem w Katedrze Filologii Klasycznej Uniwersytetu Łódzkiego i poza pracą zawodową niewiele pozostaje mi wolnych chwil.

Ta mnogość języków, którą znam, nie świadczy o tym, że obudzony o 12 w nocy mógłbym płynnie mówić we wszystkich. Natomiast byłoby to możliwe po krótkim przygotowaniu. Należałoby rozróżnić, czy poliglotyzm jest cechą wrodzoną czy też jest to nabycie pewnych zdolności przyswajania lub łatwości przechodzenia z jednego języka w drugi po uprzednim przygotowaniu. Poliglotyzm absolutny w postaci posiadania znajomości języków gotowych i operowania nimi na zasadzie strzelania z cekaemu — jest niemożliwy. W pewnym sensie miarodajne mogłyby być egzaminy państwowe z wszystkich języków znanych przez „poliglotę”, bo przygotowując się do jednego egzaminu, zapomniałby język wyuczony poprzednio.

Profesor Sinko był genialnym poliglota, miał pamięć fotograficzną, przeczytał, zapamiętał i wystarczyło to mu na długo. Ale mimo wszystko, czy możliwe jest przeczytanie potrzebnej ilości tekstów, żeby zgłębić całą literaturę, która potrzebna jest językoznawcy w danym języku?

Uznaję istnienie „quasi-poliglotyzmu” w sytuacji, gdy człowiek uczestnicząc w różnych społecznościach zaczyna przyswajając języki tych społeczności. Na przykład Flamand zna francuski, albo mieszkaniec Szwajcarii, który posługuje się retoromańskim, zna francuski i niemiecki. Moją metodą w nauce języków i moim „quasi-poliglotyzmie” jest bazowanie na znajomości języka praindoeuropejskiego, przekształconego w istniejące dzisiejsze języki. Najważniejszy dla mnie jest prajęzyk. Stwierdzam między różnymi językami rodziny indoeuropejskiej regularne podobieństwa fonetyczne, których uświadomienie bardzo pomaga w nauce. Może dlatego, nie uczylem się i nie znam tych spojów rodziny indoeuropejskiej. Sięganie do praojczyzny większości języków europejskich pozwala opanować znaczną część mowy i systemu gramatycznego, chociaż zakres wykorzystania tej metody jest ograniczony ze względu na zapożyczenia z obcych języków, wewnętrzne analogie, wpływy i różne zjawiska, które sprawiają, że regularność nie jest powszechna. Przyznam, że także moja metoda uczenia się języków nie należy do powszechnych. Uznaję wyłącznie dociekania naukowe i językoznawcze.

Jeśli ktoś powie: „znam ję-



zyk” nie rumieniąc się, że kłami, to powinien znać go w całej rozciągłości, a więc warianty dialektalne, np. przy angielskim — języki Londynu, Ameryki, nie mówiąc już o Australii. Przyzwyczajenie nakazywałyby też znać w tym języku twórcę Szekspira.

DLA PRZEMYSŁU I TECHNIKI

STANISŁAW BRAJTER: — Jestem tłumaczem w „ZETO” (Zakładzie Elektronicznej Techniki Obliczeniowej) w Łodzi. Ponieważ językiem elektronicznej techniki obliczeniowej jest angielski, posługuję się nim w pracy zawodowej. Zakład wykorzystuje mnie także jako tłumacza języka węgierskiego. Znam również francuski, rosyjski, niemiecki, łacina, grekę (z wykształcenia jestem hellenistą), biernie bułgarski, czeski, rozumie włoski i japoński. Posługuję się nimi czynnie, jest to znajomość nabyta, wyuczona, ale nie mogę jej nazwać dogłębną. Nie uznaję nauki o języku, formach i gramatyce. To daje podstawę do zaliczeń akademickich, ale rzadko student po takim zaliczeniu zna obcy język. Uczyłem się zawsze sam, kojarząc znaczenia słów — w ten sposób zasada gramatyka ujawnia się najlepiej. Poznawanie nowych języków jest dla mnie zawsze ciekawą przygodą. Ostatnio zdarzyła mi się okazja otrzymania od pewnego Szwajcara dzienników retoromańskich i będę miał dużą przyjemność tłumaczenia ich. Języki pomagają mi w moich zainteresowaniach muzycznych, zbliżają do ulubionej muzyki Szostakowicza, utworów węgierskich. Ale tak naprawdę głównym bodźcem uczenia się ich było zawsze praktyczne wykorzystanie.

Nie muszę znać obyczajów np. Węgry, czy jego zamieszkań, by mieć chęć obcowania z jego językiem. Węgierski najpierw był mi potrzebny, abym po prostu porozumiał się z ludźmi podczas którychś wakacji, a teraz potrzebny mi jest w pracy. Mam przyjemność w czytaniu obcych czasopism, literatury, w kontaktowaniu się z nowo poznanymi Węgrami. Tak jak warunkiem uczenia się przeze mnie języków obcych jest zwykle powód stricte praktyczny, tak samo metoda uczenia, polegająca na osłuchaniu się z językiem jest czysto praktyczna. Potrzebuję zawsze stwierdzenia poziomu swoich umiejętności podczas bezpośrednich rozmów z cudzoziemcami.

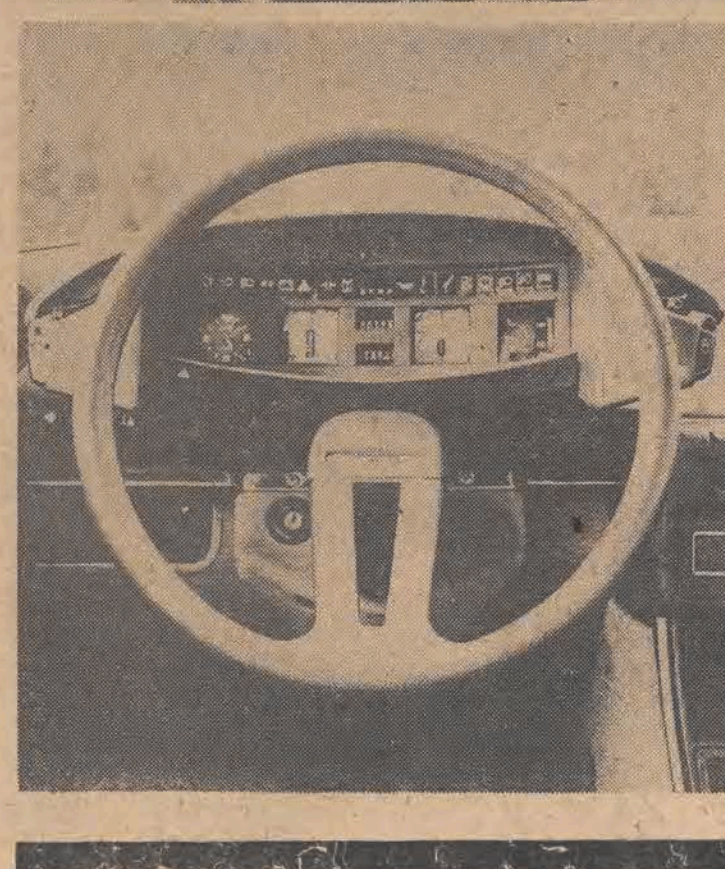
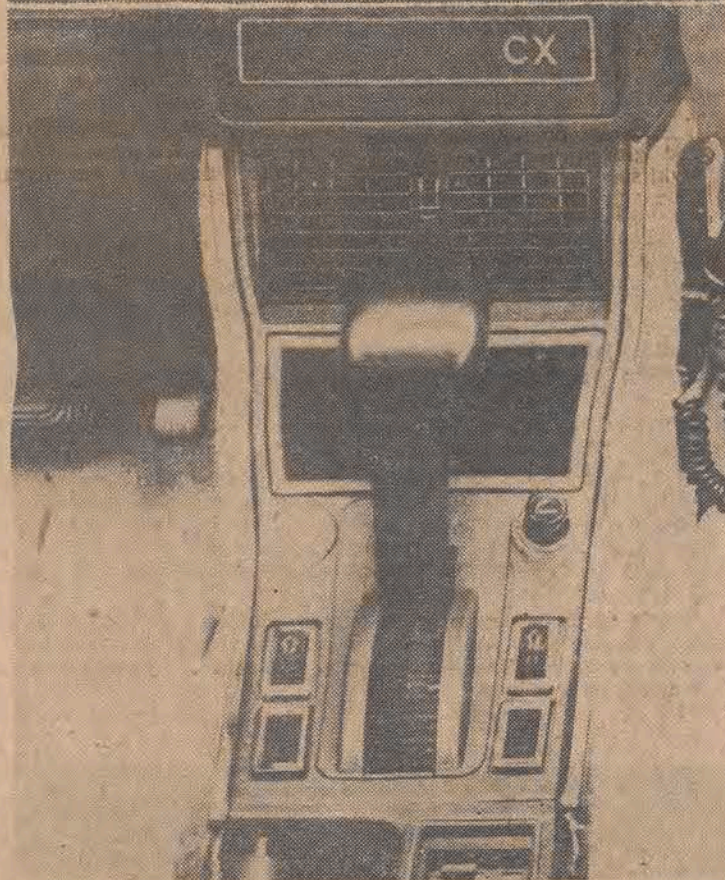
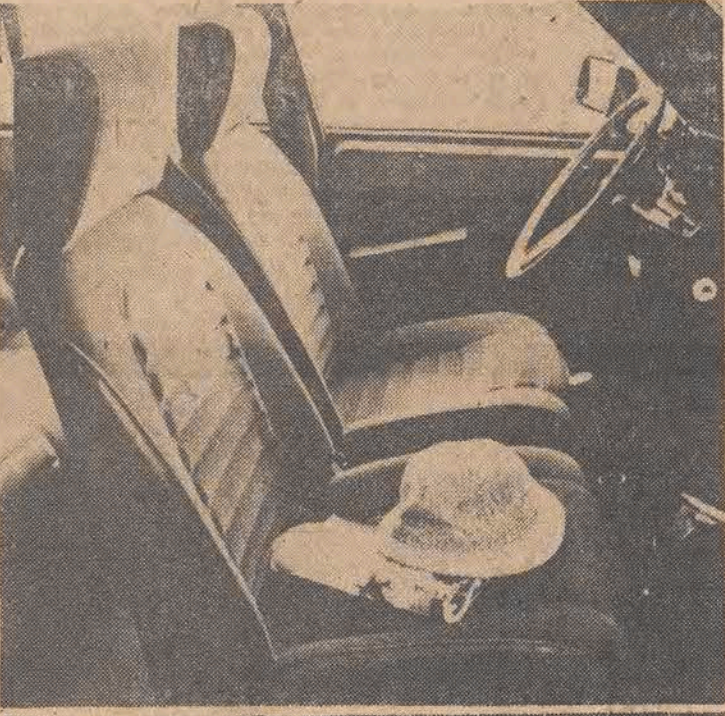
Uważam, że znajomość kilkunastu języków obcych jest w naszych czasach niemożliwa. Mimo największego zamilowania do nauki. Nawet jeśli są możliwości intelektualnego poznania i posługiwania się tyłoma językami, to chyba nie pozwala na to brak czasu. Wszyscy przecież pracują zawodowo, mają zajęcia związane z domem, a w nawale obowiązków, większości z nas brakuje czasu na odpoczynek. Jeśli jednak istnieje ktoś taki, to mogę mu jedynie pozazdrościć, tak jak zazdrościć zdolności plastycznych, które przy braku wrodzonego talentu nie mogą się ujawnić.

Poligłoci ubiegłych wieków byli przeważnie ludźmi bogatymi. W ich sferach Kinderstube nakazywała uczyć dzieci języków obcych od najmłodszych lat. Łacina i greka były podstawowymi przedmiotami w szkole. Znajomość w niej nabyta, kontynuowana była podczas studiów wyższych, często na kilku obcych uniwersytetach. Nieobycie z francuskim oznaczało comme il faut, a stała się potrzebą edukowania się w dziedzinie języków obcych z łączyła była z aktualiami. Głównie z czytaniem, teatrem i sztukami w obcych językach, a także z podróżowaniem po świecie. Jeśli ktoś przekroczył przeciętną znajomość kilku języków, to wynikało to z hobby, lub określonych zainteresowań. Nie było zresztą wielu genialnych poligłotów, a wieść o tych najślawniejszych rozprzestrzeniała się na zasadzie sensacji towarzyskiej.

Inni są dzisiejsi poligłoci. Nie przyjmują tej nazwy w odniesieniu do swojej osoby. Mają różne, indywidualne motywacje uczenia się języków obcych, są nieznanymi, a z dawnymi poligłotami mają tyle wspólnego — że jest ich niewiele.

Motoryzacja i rozsądek

DARIUSZ DOROŻYŃSKI



1

Motoryzacja znalazła się w naszym kraju na dziwnym i przez nikogo chyba jeszcze kilka lat temu nie przewidywanym wirażu. Już to bowiem zaczęliśmy chlubić się na zagranicznych rynkach systematycznie rozbudowywaną w oparciu o licencje rodziną „Fiata”, gdy nagle okazało się, że „musimy” za „małuchy” kupować konserwy i pastę do zębów. Smutna, ale prawdziwa konieczność. Nastąpiły czasy poważnych wyrzeczeń, choć marzenia o posiadaniu własnych czterech „kółek” są nadal tak silne, że wielu rodaków jeszcze nie rezygnuje. Jeszcze nie chce się wycofać, przekreślać snów o niedzielnych wycieczkach i wszelkich, nawet kłopotliwych przypadłościach związanych z posiadaniem upragnionego wehikułu. I choć trapią nas okrutnie kłopoty dnia codziennego — samochodowy wirus draży nas wciąż skutecznie. A dowodem tego są za ciasne parkingi, coraz większe kolejki przed stacjami benzynowymi, rozrastające się motoryzacyjne rubryki w gazetach i tłok na samochodowych giełdach. Po prostu aut przybywa, a obecne kłopoty mogą rozwój motoryzacji jedynie nieznacznie przyhamować. Co zresztą w niczym nie leży interesie.

Zdobycie czterokołowego przedmiotu marzeń, nawet po wyasygnowaniu na ten cel określonej ilości gotówki, nie jest jednak sprawą prostą. Oczekujące na klienta salony samochodowe jeszcze przez wiele lat ogładają będziemy wyłącznie w filmach. Póki co, mamy różne zapisy, przedpłaty, jakieś książeczki, okazjonalne nagrody w różnych loteriach (życiowych także) oraz tzw. wolny rynek. Ten ostatni zaś stanowi najciekawszą „branżę”. Przy czym dla wielu potencjalnych posiadaczy popularny „małuch” czy „Syrena” nie jest już „szczytem” możliwości i oczekiwań. Jeszcze gdyby nowy i jako pierwszy pojazd, w celu zdobycia podstawowych doświadczeń — to ewentualnie.

2

Najlepszym dowodem samochodowego „głodu”, a z drugiej strony narodowej zaradności jest fakt sprowadzenia do kraju w minionym roku bodaj około 45 tysięcy rozmaitej „maści” aut. I nie stanowi dla nikogo przeszkody brak specjalistycznego serwisu w kraju (a przecież nieliczni w sumie nabywali samochody nowe lub prawie nowe), wszelkie opłaty celne, potencjalne podatki czy trudności ze zdobyciem podstawowych części zamiennych. Przywożono w większości samochody małe, do 1300 centymetrów pojemności skokowej silnika, ekonomiczne; często wyposażone w silniki wyskokoprężne. A przy tym samochody szybkie, efektywne, „zadające szyku”, wywołujące przyjemny blask w oku pań.

Sprawdano pojazdy przede wszystkim z RFN. Widać więc na polskich drogach rozmaite „Fordy”, „Audi”, „Volks Wageny”, choć nie brakuje wozów firm francuskich i angielskich. Poszukiwano też w czasie zagranicznych wojaży „naszych”, „Fiatów”, „Polonezów”, które można było przywieźć nie placąc cła. Polscy turysty stali się stałymi bywalcami wielu zachodnich stacji obsługi, garaży, złomowisk i pilnymi czytelnikami motoryzacyjnych rubryk w tamtejszej prasie. Właściciele zacierali ręce z uciechy, widząc jak znikają z placów używane pojazdy, nie ciesząc się wśród tubylców zbytym wzięciem. Ale wielu z nich nie wyszło z podziwu, gdyby mogli te wehikuły obejrzeć po kilku tygodniach, gdy w „złoty” rękaw polskich mechaników, blacharzy i lakierników przeszły one autentyczne „kuracje odmładzające”.

W sumie więc wszyscy powinni być zadowoleni. Właśnie z ministrem finansów. Choć bowiem nie wszystkie przywiezione z wojaży walory, które potencjalnie mogłyby znaleźć się w bankowych sejfach, tam trafiły, to jednak część zmotywowanych decydowała się po namyśle na kupno nowych aut w „Pewexie”, a w końcu pobierane cła, podatki, znacznie dla aut zachodniej produkcji wyższe kwoty ubezpieczeń komunikacyjnych, stanowią sumy nie do pogardzenia.

Zaczęto coraz częściej przebakiwać, również na łamach gazet, że warto by te sprawy jakoś usystematyzować, zapewnić posiadaczom pojazdów spoza rodziny Fiata jakąś opiekę serwisową z prawdziwego zdarzenia, większe możliwości zdobycia podstawowych części zamiennych, akcesoriów. Handlowano co prawda olejami zagranicznymi w stacjach CPN, świece i akumulatory można było kupić w „Pewexie”, zaangażował się w sprawę Polski Związek Motorowy, ale było to bardziej nastawione na zaspokojenie snobistycznych potrzeb niektórych klientów niż przyświecało z autentyczną pomocą coraz liczejszej grupie właścicieli pojazdów zachodnich marek.

A przecież szeroko rozumiana opieka nad obecnymi i przyszłymi posiadaczami skromnych „Citroënów” i komfortowych „Mercedesów” rozsądnie, „z głową” zorganizowana może, ba — musi stać się źródłem dochodów. Bo to i filtr oleju i oponę czy świecę trzeba jednak zmieniać, nawet jeśli płacić trzeba za nie w zielonkawej walucie. Pierwsza, jak się okazuje, doceniła to (i urzeczywistnia) nie znana dotychczas szerszym kręgom firma „Polimar”, czyli funkcjonująca bodaj od 1975 roku w Polsce Towarzystwo Handlu Zagranicznego o tej nazwie. Do bieżącego roku zajmowało się przede wszystkim „kuratela” nad kilkudziesięcioma z ponad stu działającymi w kraju spółkami polonijnych. Reprezentowało także interesy około 20 zachodnich firm współpracujących z Polską, że wymienimy dla przykładu zachodniemieckiego „Brücknera” (maszyny włókniennicze), tamtejszą „Belzonę” (materiały regeneracyjne dla przemysłu ciężkiego) czy angielską firmę „Imasa”. Ale dlaczego nie zająć się organizacją sprzedaży samochodów zachodnich marek?

Pomysł nabrał realnych wymiarów na początku minionego roku, a gdy w maju „Polimar” otrzymał z Ministerstwa Handlu Zagranicznego koncesję na sprzedaż używanych aut — zaczęto rozglądać się za odpowiednimi dostawcami. Pierwszą „sondę” przeprowadzono na czerwcowych Targach Poznańskich. Owszem, producenci byli tam nawet dość licznie reprezentowani, ale oferowali wyłącznie pojazdy nowe, które interesowały mogły tylko „Pewex”. Jednak gdy rozesłało „wici” do polskich ambasad — jesienią zaczęły napływać pierwsze oferty.

Dostawcą „numer jeden” został ostatecznie Günter Wesner — właściciel dużej formy zajmującej się sprzedażą samochodów w okolicy Stuttgartu, który po podpisaniu niezbędnych umów, wytypowaniu składowisk w kraju i wstępnym rozeznaniu rynku — zaczął organi-

zować pierwsze dostawy pojazdów. I oto z początkiem bieżącego roku „interes” ruszył: najpierw dwa punkty — w Częstochowie (przy ul. Warszawskiej 257) i Wrocławiu (przy ul. Jeleniogórskiej 61), a w ostatnich dniach marca — w Warszawie (przy ul. Chelmskiej 106). Od czasu tego się opinia rzetelnego fachowca Zygmunta Gajewskiego wynajęto tu pomieszczenia na biura, magazyny oraz plac składowy, gdzie klientom prezentowane są samochody.

Na co może liczyć ów klient? Przede wszystkim (musi) na własne dolarowe konto w banku lub zapasy z przysłowiowej pończochy. Napisać wyraźnie: samochody sprzedawane są w „twardej” walucie, a ceny przeliczane w markach RFN. Auta przechodzą podstawowe przeglądy i ewentualne naprawy w Niemczech, tam są ubezpieczone i przez niemieckich kierowców dostarczane do Polski. Tu pojazd przechodzi jeszcze jeden test przeprowadzony przez rzeczoznawców z „Polcarga” (diagnostyka, przegląd podstawowych mechanizmów i zespołów, włącznie z próbami drogowymi), po czym wędruje na plac, pełniący rolę salonu.

Jakie to są wozy? Zanim podam kilka konkretnych szczegółów, podstawowa uwaga: za wyjątkiem „Mercedesów”, dla których dolna granica „wieku” ma być nieco obniżona, nie będą sprzedawane samochody starsze aniżeli rocznik 1977. Przeważają auta małowartościowe z silnikami benzynowymi oraz diesle. „Małowartościowe” — według zachodniej nomenklatury, czyli pojemności do 2000-2500 ccm. By rozwinąć złudzenia posiadaczy — powiedzmy ogólnie — mniejszych sum w walutach wymienialnych oto kilka przykładów z pierwszych, handlowanych ofert.

Ford Taurus 1,6L z 1979 r. — 7900 DM, identyczny model w optycznie lepszym stanie technicznym — 9900 DM, Citroën CX z 1978 r. — 8500 DM, Citroën Visa S z 1981 r. — 9750 DM, VW Passat GLS z 1979 r. — 10500 DM, VW Derby GLS z 1980 r. — 11800 DM, Citroën GSA z ubiegłego roku — 11300 DM.

Ala nie koniec na tym samochodowych propozycji. „Polimar” we wspomnianej walucie proponuje na miejscu także sprzedaż części i akcesoriów do typowych pojazdów zachodniej produkcji — na początku akumulatorów do wszystkich chyba marek, włącznie z pojazdami dostawczymi (to dziwne — są tańsze niż w „Pewexie” i to sporo), świec zapłonowych, filtrów olejowych, okładzin hamulcowych itp. Z czasem oferta będzie szersza, a wszystko są to oczywiście rzeczy nowe. W najbliższej przyszłości będzie można określić część zamówień i po wpłaceniu zaliczki klient w ciągu 2-3 tygodni otrzyma poszukiwany zazwyczaj bezskutecznie towar.

I następna oferta: niemiecki dostawca organizuje firmę polonijną o profilu motoryzacyjnym. Na razie złożono wniosek o udzielenie koncesji, a „Wespol” — bo tak ma się nazywać, ruszy prawdopodobnie w maju br. i prowadzić ma najogólniej mówiąc regenerację i sprzedaż (tym razem z zółtówką) używanych części i podzespołów do typowych samochodów zachodnich marek. Oczywiście za wyjątkiem tych, mających podstawowy wpływ na bezpieczeństwo jazdy (układy hamulcowe, kierownicze etc.). Z czasem „Wespol” zajmie się być może naprawami blacharskimi i lakierniczymi. A w najbliższych tygodniach uruchomione mają być jeszcze kolejne składy konsygnacyjne w Gdańsku i Krakowie.

Wszystko pięknie, ale czy ktoś w ogóle te samochody kupuje?

3
Pojeździć więc na ulicę Chelmską... Niewielki placzyk z kilkoma samochodami od razu rzuca się w oczy: firmowe szyldy z symbolami VW i Citroëna, girlandy z żółtymi i fioletowymi chorągiewkami.

— Zobacz Kaśka, jakie tu „bajery”, podszkrywali jak na Zachodzie — szydzi u wejścia młodzieniec w skórzanej kurtce.

— No, chodź, chodź — oczy dziewczyny śmieją się już do kilku jaskrawo lakierowanych, ustawionych półkolem aut.

Wylepione na szybie ceny nie wywołują u nikogo z licznego grona wyraźnie zainteresowanych osób okrzyków przerażenia czy niedowierzających usmiechów. Wiedzą, że tu roczny samochód kosztuje przeciętnie tyle co nowy w RFN. Nie razi to nikogo, podobnie jak fakt, że firma nie daje żadnej gwarancji. Owszem, można się przejechać, obejrzeć dokładnie raz i drugi — to wszystko. Z uznaniem natomiast kwitują wiadomość, iż sprzedający oferują pełen bak paliwa. Kilku mężczyzn pieczołowicie ścisłają gazy, sprawdzają stan opon, sprawdzają dopytując o „Mercedesy”.

— Dopiero za miesiąc... ale diesle będą na pewno... no, tak, tak, około 20 tysięcy, nie szkodzi... — chwytam fragmenty rozmowy.

Najtańszy z kilkunastu sprzedanych samochodów (w ciągu czterech dni) kosztował niecałe 6 tys. marek, ale też zaraz pierwszego dnia znalazł nabywcę Citroën CX Diesel z ubiegłego roku za ponad 24 tys. A „Merców”, gdyby byli — z pewnością sprzedano by już z dwadzieścia.

Nie będzie też już za kilka tygodni kłopotów z zamówieniem konkretnego, choćby najdroższego auta. Ot, wybieramy model, kolor, (tapicerki również), wpłacamy zaliczkę i cierpliwie czekamy — około miesiąca. Czy są chętni? Kilku poważnych nabywców dziennie. Młody człowiek opisujący szczegóły wyposażenia BMW („takie, wie pan — do roku, nie starsze...”) gotów jest wyasygnować kwotę dość wysoka — do 30 tysięcy marek. Jakis rajdowiec z południowych rejonów kraju już zamówił specjalną wersję Audi-Quattro, zaznaczając, że zależy mu na rajdowym atleście... a cena nie gra roli...

— Te ceny, jak stwierdzam w czasie rozmów — mówi mi Zygmunt Gajewski — niewiele odstrasza, dla niektórych są wręcz niskie. O, jestem przekonany, że ten człowiek z tęczką gdybym miał teraz Mercedes „ropniaka” kupiłby go na pniu, zmartwił się, że musi z forsą jechać do banku. Dla wielu to wygoda: cło ma już klient wkalkulowane w cenę, wskazuje palcem: płaci i odjeżdża.

Opuszczam niewielki plac z samochodami tuż za młodzieńcem w skórzanej kurtce, który z wypiekami na twarzy tłumaczy swej towarzysze:

— Daj, spokój, co się uparłaś z tą Visą! Przecież to za małe dla nas; jutro przyjeżdżamy i bierzemy tego dużego Citroëna, Pallas, czy jak mu tam...

Samochodowy głód jest często silniejszy od zdrowego rozsądku.

Gdzie byłeś tak długo?

Wyszedłem na spacer. Droga ścielecia się ładnie, miętko uginając się pod nogami.

— Idę, jak po pasie startowym, nagle pomyślałem.

— Zaraz przyjedzie samolot i zabierze mnie w nieznane.

Rozmyślania przerwała spadająca gwiazda, zaśluzgnęła się ostrym łukiem i schowała za bryłę lasu na horyzoncie.

Zapragnąłem znaleźć się w górze, we wszechświecie, poznać z bliska konstelacje planety dalekich i może zamieszkałych, jak ta, gdzie ja jestem.

Straciłem przytomność. Poczułem tylko, że z tyłu chwyciły mnie mocne ręce.

Obudziłem się na pagórku, w bukowym lesie. Drzewa miały pnie niezwykłej grubości. Korzenie tkwiły w błocie, nie było poszycia. Listowie gęste nie przepuszczało słońca. Panował półmrok. Usłyszałem krótki, suchy trzask, wzgórze zatrząsnęło się i ruszyło powoli przed siebie, nierzeczywista kra. Niebo zawirowało mi w oczach, krew uderzyła do głowy ze strachu.

Zbiegłem ze wzgórze, przekakując, rozszerzając się stale przepaść.

Byłem na stałym gruncie, który zaczynał falować. Uchwyciłem się kurczowo konarów drzewa i patrzyłem, co będzie dalej.

Planeta ruszyła z posad i runęła w przestwór. Po drodze mijaliśmy gwiazdy i planety. Z daleka wyglądały jak wirujące pokrywki, jedno oślepiła światłem, inne ciemnością porażały serce głęboko. Wirowały zbite w kłębki, w kście dojrzałe.

Z bliska, te ciała niebieskie, które mijaliśmy wydawały mi się suche jak ziarnka pieprzu, wystygłe, z kraterami pełnymi wrzającej lawy. Wszystkie kształty i barwy zatarły się i zlały w jeden długi cień, którego wirująca konsystencja przyprawiła mnie o mdłości.

Byłem głodny i chciało mi się pić. Próbowalem jeść korę z drzewa. Zeskrobywałem ją, lamiając paznokcie. Była kwaśna i drapała w gardle, kiedy próbowałem ją przełknąć. Wdychałem głęboko parę wodną i mgie. Te wysiłki zaostrzały tylko głód i pragnienie.

Zapragnąłem z całego serca wrócić do domu, do rodzinnego miasteczka, którego tak nie lubiłem, ale to było jedyne miejsce na ziemi, o którym mogłem powiedzieć, że jest moje i gdzie na mnie czekano z utęsknieniem. Na myśl, że nigdy nie zobaczę żony ogarnęła mnie rozpacz.

Spadałem wciąż z oszalałą prędkością, tracąc przytomność.

Ocknąłem się w środku olbrzymiego leja. Wspiąłem się i zsuwałem po gładkich ścianach. Miałem szczęście. Uchwyciłem się wystającego korzenia i wylazłem na powierzchnię.

Dół był olbrzymi, o średnicy wielokilometrowej. Na horyzoncie zauważyłem wieżę kościelną z naszego miasteczka. Ruszyłem na przelaj, prosto na nią. Przed zmrokiem byłem w domu.

Słyszałeś nowinę, zapytała mnie żona w progu. Przyleciała Marsjanie.

— Ale gdzie byłeś tak długo?

— Nie wiem.

BARBARA JANKE-BIANEK

TULI KUPFERBERG

Tęsknota

Była raz sobie bomba atomowa, która chciała być kulą karabinową.

— Dlaczego — pytały ją inne bomby atomowe — zamiast cieszyć się, że jesteś wielką bombą atomową, chcesz być kulą karabinową?

— Ponieważ odczuwam brak osobistego kontaktu z ludźmi — westchnęła bomba.

Przełożył z angielskiego **LECH JĘCZYŃSKI** (Z almanachu „Kroki w nieznane” „Iskry”, Warszawa 1973)

Jest teraz szalona moda na wywiady. Są nawet tacy szczęśliwcy jak Osmańczyk, których interwjuje się co tygodnia. Ja też czekałem, czekałem, ale się nie doczekałem, więc nie ma innej rady — muszę to załatwić sam. Udaję się tedy do siebie i zastaję się nakręcającego na podłodze blaszaną kaczuszkę.

— Co pan teraz robi? — pytam, ściskając sobie z szacunkiem dłoń.

— Puszczałem kaczkę. Patrz pan, jak macha skrzydłami, co?!

— Miałem na myśli pańską twórczość.

— Ach, to. Zmieniam profil. Literatura, jaką uprawialiśmy dotąd, okazała się nierentowna. „Dom Książki” oraz przykład kolegów wskazywał mi nową drogę rozwoju. Piszę powieści kryminalne. Na początek — trzy.

— Więc odszedł pan od fantastyki? — pytam z ubolewaniem.

— Bynajmniej. To są powieści kryminalno-fantastyczne.

— Można poznać jakieś dalsze szczegóły?

— Można poznać. Pierwsza dzieje się na luksusowo urządzonej statku kosmicznym. Załoga składa się z arystokratów, psychopatów, kociaków, gwiazd filmowych, cierpiących na nimfomanie oraz dziedzicznie obciążonych psów czau-czau. Receptura, jak pan widzi, nowoczesna.

— Istotnie. A czym zajmuje się załoga tej rakiety?

— Rzecz jasna, orgiami oraz morderstwami, które mają się do siebie w stosunku dwa do jednego, bo ta proporcja, jak wykazały badania opinii publicznej, gwarantuje najwyższy nakład.

— Czy na rakiemie jest detektyw?

— Pewno. Jest nim pewien starszy, flegmatyczny, kochający kwiaty mózg elektronowy.

— A te inne powieści, o których zechciał pan wspomnieć?

— Jedna jest o tematyce krajowej. To historia skonstruowania pierwszego polskiego sztucznego satelity, związana z grubszą aferą łapówkową, dzięki której pewien facet z prywatnej inicjatywy urządza na tym satelicie tajny dom schadzek.

STANISŁAW LEM

Autowywiad

Hej, lza się w oku kręci, w roku 1957, a więc ćwierć wieku temu, Stanisław Lem — ze znaczniejszych utworów mający podówczas za sobą jedynie „Astronautów” oraz trytomową powieść współczesną „Czas neutracony” — opublikował arcyważny „Autowywiad”, który do dziś zachował tyle wdzięku, że zdał się nam wart przypomnienia.

Tekst „Autowywiadu” zacytowaliśmy z tomu „Wejście na orbitę”, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1962.

— Czy dobrze słyszę?

— Nie wiem. Proszę sobie przetkać ucho. Na tym sztucznym satelicie miało być laboratorium atomowe, ale ten facet posmarował inwestora i zrobiło się pewne przeróbki, tak aby przez spektrometry Astona można było oglądać zdjęcia pornograficzne, automatyczną aparaturę przerobiło się na usługowe roboty erotyczne, a o tym, co się działo w stosie atomowym, to pan sobie może już sam przeczytać, jak powieść wyjdzie... Są tam jeszcze inne wątki. Grupa operacyjna Ministerstwa Handlu udaje się na Księżyc pod pozorem otwarcia wzorcowej ekspozytury Cepelli, a w rzeczywistości przerabiają grunt księżycowy na kamyczki do zapalniczek i robią na tym miliony. Z upływem lat Księżyc zmniejsza się i zachodzą pewne perturbacje wykryte przez obserwatorium w Kieleckiem, ale główny astronom nie podaje ich do wiadomości, bo został zablutowany.

— Zabla...?

— Tak. Przedstawiciel Cepelli, wracając z Księżyca, wstępuje na jedną małą radioaktywną do sztucznego satelity, bo mu po drodze, i łapie tam własną żonę in flagranti z pewnym amerykańskim robotem, który łagodzi jego wściekłość obietnicą, że wyprodukuje nadymany księżyc z gumy, odpowiednio pomalowany, który będzie imitował na niebie prawdziwy Księżyc. Ten robot ma kochankę z wyższych sfer, przez którą nawiązuje kontakt z marynarzami kosmicznej linii Gdynia — Mars i sprzedają z nimi cały Księżyc na złom. Za uzyskane dewizy budują sobie parę jednorodzinnych satelitów z komfortem (smyrny, ruleta, elektronowa rozpusta itp.). Nieszczęście chce, że mąż kochanki robotą przez zemstę przekłująca nadymany księżyc, powietrze ucieka, guma się zapada i grozi skandal. Nasza milicja rusza natychmiast na miejsce wypadku, ale z powodu niskiego stanu motoryzacji dysponuje tylko dwukonną bryczką, bo motocykl jest w remoncie, a rakiety skreślono im przez oszczędność. Po Drodze Mlecznej konie siabną i trzeba zrobić postój na sztucznym satelicie.

— Tym jednorodzinny?

— Nie, tym z domem schadzek. Jeden z milicjantów przez omyłkę wchodzi do stosu atomowego, staje się świadkiem dramatycznej sceny i wylatuje stamtąd w najwyższym podnieceniu, ale kierownik, ten gość z prywatnej inicjatywy, tłumaczy mu, że na tym właśnie polega rozbijanie jąder. Milicjant nie jest fizykiem atomowym, więc bierze to za dobrą monetę, lecz w tym momencie gumowa płachta, która spadła z nieba, nakrywa

sztucznego satelity, robi się ciemno i w zamieszaniu jeden agent wkłada do walizki śledczej spektrometr z wiadomymi zadziejami zamiast parasola...?

— Przepraszam na chwilę. Proszę mi wybaczyć, ale... nie mogę nadziżyć za lotem pańskiej fantazji. W głowie mi się trochę zakręciło... Tak, już mi lepiej. To niesłychane, doprawdy. Pan mówił jeszcze o trzeciej powieści, prawda?

— Tak. To utwór młodzieżowy, dłuższa historia, obficie ilustrowana, o takim małym chłopczku, który morduje swoją rodzinę...?

— Morduje...?

— No, tak. Pan zdaje się faktycznie nie dostłszy? Wydałiśmy wojnę natrętnej, nudnej dydaktyce. Używając na przemian czekoladek z cjankiem potasu, siekiery oraz tresowanego okularnika...?

— Bardzo pana przepraszam, ale zdaje mi się, że o takich dzieciach, które mordowały, już gdzieś pisano?

— O takich dzieciach może i pisano, ale nie o tym, które jest bohaterem mojej powieści. To jest chłopczyk syntetyczny proszę pana.

— Syntetyczny?

— Tak, plastikowy, dla bezdziejnych rodziców, z elektro-móźdzkiem, tylko wyprodukowały go w ramach ubocznej produkcji Zakłady im. Nowotki i ma on pewien drobny feler, wskutek czego, zamiast kochać przybranych rodziców, morduje ich. Mała omyłka w połączeniu lamp katodowych, nieprawdaż.

— I co dalej z tym chłopcem, można spytać?

— Można spytać. Zdemaskowany, szuka ratunku w krótkim śpiączce, to jest w samobójstwie, chciałem powiedzieć.

— To szalenie ciekawe. A co pan jeszcze robi poza pisaniem tych oryginalnych książek, czy wolno postawić takie pytanie?

— Wolno postawić. Epoka schematyzmu, mój panie, w której wietnamskie dzungle lepilo się z tak zwanego papendekla, a

wybrzeże atlantyckie kręciło się w Falenicy, ta epoka jest szczęśliwie za nami. Obecnie każdy film kręci się tam, gdzie się toczy jego akcja. Planuje się film o Monte Cassino — kręcić go będą we Włoszech. Kolega Stawiński ostatnio napisał ciekawy scenariusz „Casalarga” o żywej akcji...?

— Też we Włoszech?

— Jasne, a pan myślał, że w Radomskim? Ma się też kręcić moich „Astronautów”. Czekam w związku z tym służbowy wyjazd...?

— Ha, ha, pan jest bardzo dowcipny!

— Ależ to nie żart. Jedziemy nie na Wenus, ale za granicę. Wyjaśniło się czynnikiem, że aby odnaleźć miejsce na kuli ziemskiej, nadające się do kręcenia filmu o innej planecie, musimy w sto osiemdziesiąt osób, plus odpowiednia ilość aut, objechać cały glob. Poszukiwania trwać mają około trzech lat. Głównymi punktami ich będą: Place Pigalle w Paryżu, 72 ulica w Nowym Jorku, dzielnice portowe Marsylii i Kopenhagi, ponadto pewne rejony Londynu, Rzymu, Tokio, Sycylij, Casablanca, Afryka Centralna i Haiti.

— Haiti też?

— Tak, słynie z tancerek, czy z rumu, w tej chwili zapomniałem, ale mam to gdzieś zapisane.

— A może powie mi pan, co będzie w Polsce za dziesięć lat?

— Pan mnie pyta jako pisarza fantastycznego czy jako osobę prywatną?

— No... jako pisarza.

— Tak? Hm, cóż, będzie, proszę pana, szalony nadmiar aut, lodówek, diabli wiedzą czego, higiena, porządek niesłychany, plastikowe barwne domy prywatne, helikoptery, autostrady, a wszystko jak w zegarku!

— A... a jako osoba prywatna — co mógłby pan powiedzieć? — Uważam, mój panie, że to i niesmaczne, i nieaktowne publikować treść prywatnych rozmów, a zresztą cóż one kogo. Pan jakos tak patrzy — zapewne odczuwa pan zmęczenie? Rozmawiamy dość długo, istotnie. A może pan nie ma już czasu, co?

Wstaję szybko, pojawia się dyskretna aluzja, i dziękując wylewnie gospodarzowi, pędzę do redakcji, aby jak najszybciej podzielić się z Czytelnikami bogactwem wrażeń, wyniesionych z tak udanego wywiadu.

1957

Pasje i zmartwienia

Co nas martwi? Czy się pasjonujemy? Odpowiedź na te pytania można znaleźć na łamach gazet, w rozmowach, wnikliwie obserwując naszą codzienność. Oto „Express Wieczorny” z 3 kwietnia 1982 r. donosi:

„Ponad miesiąc spędził inż. Zygfryd Świerkowski z Poznania bledząc się nad ułożeniem magicznego sześciannu, znanego jako „kostka Rubika”. Rozwiązanie przyszło niespodziewanie...”

Z tych doświadczeń inż. Zygfryd Świerkowski wyciągnął właściwy wniosek. Skoro on tak się biedził, to inni również. Napisał więc poradnik dla ludzi pasjonujących się „kostką Rubika”. Książeczka nosi tytuł: „Układanie kostki Rubika”. A jak już napisał książeczkę, to trzeba ją wydać. I tu zmartwienie.

„Krajowa Agencja Wydawnicza, z którą autor prowadził pertraktacje, zaproponowała taki termin wydania, że dotarłaby ona w sam raz dla wników dzisiejszych 20-latków”.

Pytanie, czy wnukowie dzisiejszych 20-latków interesowałyby się „kostką Rubika”?

Obyśmy większych zmartwień nie mieli!

Ale mamy.

„ZDECYDOWANIE kupić szyb naftowy. Oferty — ... Biuro Ogłoszeń „Piotrkowska 96” — ogłasza się w „Dzienniku Łódzkim” jakiś kandydat na rodzinnego szefa. A on na to różne władze, których obowiązkiem jest stać na straży naszego wspólnego dobra, jakim są wszelkie kopaliny?”

Ktoś inny ma skromniejsze wymagania:

„Dziś kupię. Tel. ...” — informuje czytelników „Życia Warszawy”, licząc na to, że siedząc przy telefonie zamiast biegać po sklepach, wykłócać się z ekspedientkami, mierzyć i wrócić do domu z niczym, dostanie upragnione spodnie.

W tymże numerze „Życia Warszawy” ktoś inny prezentuje bardziej skomplikowane wymagania i... gusta:

„Kupię wannę długości od 150 do 160 cm brązową lub białą, tel. ...”

Czego to ludzie nie poszukują? Czego nie chcieliby kupić?

Pewien warszawiak pragnie kupić:

„Przedwojenny aparat fotograficzny...”

Inny:

„HULAJNOGE — kupię. Tel. ...”

Szerokiej drogi!

Nasi reprezentacyjni hokeiści — jakby się można było domyślać — powinni pasjonować się przede wszystkim grą w hokeja. Jak wynika z „Przeгляdu Sportowego” jest inaczej. Wracając z Austrii bez sukcesów odkryli niespodziewanie, że sprzedaje się tam alkohol... bez kartek. Z tego też powodu „nadzieja naszej reprezentacyjnej obrony, Czesław Drodź, miał jeszcze trudności z dośnięciem do pocągu na dworcu w Wiedniu”. Inni widać też, owoiem Polskiej Związku Hokeja na Lodzie postanowił uchronić młodych hokeistów przed niebezpieczeństwami wynikającymi z poznawania świata i ograniczyć ich zagraniczne wyjazdy. Siusznie! Lepiej niech się ucą dobrze grać w hokeja na lodzie. Tym podobno też się można pasjonować.

XYZ

1 Lewym okiem

trzeba będzie dać im rekompensatę, zresztą niepomiarne trudną do sprawiedliwego wycenienia. Wtedy wrosną koszty tych wyrobów, które owi mieszkańcy Łodzi wytwarzają. Wtedy ci, co nie jeżdżą tramwajami, a zwłaszcza ci spoza Łodzi, będą musieli drożej kupować wyroby miejskie. Kółko się zamknie, a praktycznie się nie zamknie, tylko narobi po drodze sporo nowych, pozornych niesprawiedliwości.

To możliwe, że opłata za pobyt w szpitalu spowodowałaby nieopłacalność leczenia szpitalnego osób starszych. To leczenie jest w ogóle nieopłacalne, nie tylko miejsca w szpitalu, ale i leków szkoda. Najbardziej opłacalna byłaby eutanazja. Zresztą wprowadzenie opłat za pobyt miałyby tylko ten skutek, że w szpitalach znalazłyby się starsze osoby o dużych emeryturach a nie o dużych dolegliwościach. A co zrobić, żeby było odwrotnie? Ano — zrobić coś, żeby nie podatki, tylko komisje lekarskie działały sprawiedliwie. A do tego znowu potrzeba odnowy moralnej, bo sprawiedliwość to też pojęcie moralne, nie — fiskalne.

Nigdy nie zalatwimy wszystkiego przez arytmetykę. Lepiej nie sięgać po nią z myślą o utopijnej, absolutnej sprawiedliwości. Summum ius — summum iniuria, czyli najbardziej wymyślna sprawiedliwość i równość może się okazać największą niesprawiedliwością. To powiedział dwa tysiące lat temu Cycero i dodał: „jak powiada stare przysłowicie...”

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI (CWIĘK)

2

Mrozek i tradycja

Czytelnik „Polityki”, pan Henryk Jędrzycki z Poznania, skarży się na łamach tego pisma na krzywdę, jaka dzieje się ludziom nie korzystającym z centralnego ogrzewania. Opłata za CO wynosi obecnie 5,5 zł za 1 m kw mieszkania, a faktyczny koszt sięga podobno 30 zł. Tak więc państwo dopłaca wiele miliardów złotych tym co mają centralne, a nie dopłaca tym co nie mają, podatki zaś płacimy wszyscy po równo.

Ostatecznie mógłbym się z takim rozumowaniem zgodzić, chociaż sam jestem właśnie jednym z uprzywilejowanych. Co prawda w moim mieszkaniu połowa kaloryferów jest przeważnie zakreconych, bo nie lubimy spać w przegrzanej atmosferze. Powinienem więc — gwoź idealnej sprawiedliwości — płacić połowę taksy. Może ideałem byłby system amerykański, gdzie ciepło włączane jest za wrzuceniem monety do odpowiedniego automatu w każdym pokoju. Już nawet widzę oczami duszy jak moi sprytni rodacy wrzucają zamiast monet guziki, obluźwiają jakieś sprężynki, tu docisną, tam rozkręcą i grzeją się za darmo. Ale może doczekamy — my lub nasze prawnuki — czasu prawdziwej odnowy moralnej, może takie automaty będą możliwe i wówczas niechby wymierzały sprawiedliwość panu Jędrzyckemu. Mógłbym się z tym zgodzić.

Tylko że w dalszym ciągu swego listu szanowny czytelnik „Polityki” puszcza się na uogólnienia i coś w tym zaczyna pobrzmiwać niepokojąco. Na przykład pisze tak:

„Zjawisko niesprawiedliwości występuje również w szeregu innych przypadków, między innymi bardzo jaskrawo w przypadku mieszkań kwaterekowych, komunikacji miejskiej itp... Proponuję wprowadzić opłaty w szpitalach i sanatoriach (za sam pobyt, z wyłączeniem kosztów leczenia — przyp. mój). Skończyłaby się wówczas opłacalność wyjeżdżania do sanatorium na wczas, i odciałyłoby to szpitale od licznej grupy starszych osób, które co prawda wymagają systematycznej opieki zdrowotnej, lecz nie leczenia szpitalnego”.

Powiadam: bardzo niepokojąco to dla mnie brzmi. Na przykład „jaskrawa niesprawiedliwość w przypadku komunikacji miejskiej” To prawda, że tramwaje są tanie i każdemu Łodzianinowi państwo dopłaca trzy razy tyle do każdego biletu, a równie dobrze Polakowi, ale mieszkającemu w Górkach Dolnych, nie dopłaca nic. Ale prawda też, że jeżeli mieszkaniowiec Górki Dolnych ma samochód, to może nim jeździć — i jeździ — po wszystkich drogach i mostach Rzeczypospolitej, zbudowanych za ogromne setki miliardów, a ja nie jeżdżę i do zużycia tych dróg się nie przyczynam.

Żeby pojechać na tydzień do Zakopanego, muszę przez cały rok ciulać grosz do grosza z poprawką na wskaźnik inflacyjny. A górali mieszkają tam cały rok i nie tylko za to nie płaca, ale jeszcze ciągną ile się da z nas, mieszkających nizin. Czy to sprawiedliwe?

Można oczywiście podnieść opłaty za tramwaj tak, żeby nikt nie dopłacał do biletu. Wtedy będą pokrzywdzeni ci, co mają daleko do pracy, albo

ogromna, bo kredytowych pisarzy wciąż przybywa

Pojawili się i inni. Im kreda nie wystarczy. Ale pora oddać już głos Mrozkowi:

„Lucusia spowijała mgła tajemnicy i ważności. Różni ludzie, znajomi, wiedzieli o tym mniej lub więcej, ale w większości o wiedzieli tylko niektórzy (...) Lucus nie lubił rosoty na kościach cielecych i ustroju. Lucus jest bohaterem. Zdarza się że przychodzi do domu rozpromieniony, milczący, ale domowi wiedzą, że gdyby mógł nie chciał, to miałby wiele do powiedzenia. Wieczorem żona pyta go nieśmiało, z nie tajemnym podziwem:

— Znów?...

Lucus kiwa głową i przeciąga się w ramionach (...).

— Gdzie?... — zapytuje dalej żona, przejęta własnym zachowaniem.

On wstaje, podchodzi do drzwi, otwiera je nagle ruchem i sprawdza, czy nikt nie podsłuchuje. Sprawdza także rolety na oknach. Odpowiada syczącym głosem:

— Tam, gdzie zwykle...

— Ty... — powiada żona. W tym słowie jest wszystko”.

Bliscy niepokoją się o naszego bohatera, ale ten jest ostrożny, kluczowy, zmienia charakter pisma i nie rezygnuje.

„Aż pewnego zimowego dnia, kiedy zmierzał ku zwykłemu polu bitwy, przystanął i zamarł. Drzwi publicznego szalelu były zamknięte. A na nich, w poprzek, widniał brutalny napis kredą, niewątpliwie uczyniony ręką siepacza: REMONT (...). Postanowił jednak walczyć nadal. Poszedł na dworzec kolejowy. Ale właśnie z peronu wychodziła kompania żołnierzy i wielu z nich skierowało się tam, gdzie i Lucus. W Lucusiu zrodziło się podejrzenie. A więc nie tylko użył żrącego dziecięcego chwytu REMONT, ale wprowadzając stan wyjątkowy (...). Nie, Lucus jest zbyt przebiegły, Lucus poznał się na tym. Tak Lucusia nie wezmą”.

Co robi nasz bohater? Spodziewając się, że wszystkie pozostałe obiekty w miasteczku zostały już obsadzone, wsiada do pociągu i dojeżdża do najbliższej wioski.

„Dobrze, że do pierwszego domu, zapytał o ułokację.

— Czego? — zdziwiono się

— My, panie chodźmy do lasu... W zagajniku było już mrocznie. — Tym lepiej — pomyślał Lucus. Wszedł w sam środek krzaków i napisał palnikiem na śniegu: „General Franco wam pokaże”.

Wrócił do domu. Tego wieczoru długo stał przed lustrem, sprawdzając, czy do jego ramion nadawałyby się orle skrzydła”.

Opowiadanie Sławomira Mrozka nosi tytuł „Ostatni husarz”. Rzeczywiście, ten kosmopolita i prześmiewca nie uszanuje niczego, zszarga i wytkpi każdą tradycję, wykorzystując przy tym prześmiewne dzieje oręża polskiego.

Tymczasem zamalowano wszelkie napisy. Podchody jakby się skłoniły. Inwencję skierowano w inne rejony. Wskaz Wielkanoc i czas na piśnanki.

Aby być całkowicie w zgodzie z faktami muszę dodać, że jeden napis został i jakoś nikt nie kwapi się, aby z nim walczyć. Otóż na szybie „mojego” urzędu telekomunikacyjnego po dziś dzień widnieje taka oto enuncjacja: „Głopia poczta” — rozpisana błękitną nitro. I dobrze — myślę sobie — solidaryzując się bez reszty z autorem. I ja wielokrotnie wychodziłem z tej pocztyni niezdesperowany. Może zatem panie, gdy dojrzą ów napis z przysłoniętych okienek, zrobią jakiś urzędniczy rachunek sumienia?

Z obawy aby nie popaść w narzekanie typu „a nasz pan konduktor krzywo bilet przeciął” kończę ten felieton i zastanawiam się: kto go napisał? Ja? Mrozek? (toutes proportions gardées). Czy też życie? A ponieważ ono często bywa określone opinią: „jak z Mrozka”, odpowiedź pozostawiam czytelnikom.

GRZEGORZ GAZDA

3 Spojrzenie znad szachownicy

Wykład inauguracyjny dla słabiej wyedukowanych

Proszę się doprawdy nie obawiać, nawet najpilniejszy czytelnik tych felietonów nie zostanie ani Laskerem, ani Capablanką, którzy tak bardzo musieli się męczyć w meczach o mistrzostwo świata, do tego potrzebny jest bowiem również talent, a talony na talent wydawane są w zupełnie innym resorcie. Co więcej nie będą nawet nikogo nudzić ćwiczeniami z matowania samotnego króla skoczkiem i gońcem, który to egzamin zaraz po urodzeniu zdaje dziś każdy przystosowany do gry w szachy komputer (a jeżeli nie zda zostaje odelegowany do mniej poważnych zajęć, np. do robienia w Polsce bilansu energetycznego, czego radosnie skutki odczuwamy do dzisiaj). Niemniej, o co wcale nie tak łatwo, musimy się przecieć jakoś porozumiewać, gdybyście więc zechcieli państwo przyswoić parę szachowych terminów, a także wysłuchać kilku sędziwych, jakże jednak pouczających anegdot — byłoby nam wzajemnie znacznie łatwiej.

Szachy były w swoim zaraniu grą wojenną, odwzorowaniem bitwy dwóch równych sił armii, wywodzą się zaś niemal na pewno z indyjskiego czatrangu — ukształtowanego gdzieś w IV—V stuleciu naszej ery, choć pierwsze wzmianki pisane pochodzą dopiero z końca VI wieku. Istnieją i inne możliwe rodowody, w tym chiński, jak również przypuszczalnie, że chińskie i indyjskie pra-szachy miały wspólnego pra-pra-ojca, którego jednak nie udało się ustalić, co daje — nieprawdaz — pewną nadzieję, że uda się jednak w całą tę sprawę wmanewrować kosmitów... Tak, siak czy owak czar'rang zaczął sobie wędrować kilkoma przynajmniej ścieżkami, z których jedna biegła poprzez Środknią Azję, Azerbejdżan, Tadżykistan, Gruzję, Chanat Chazarski aż na Rus Kijowską, co potwierdza chociażby fakt, że bohaterowie bylin Ilja Muromiec czy Sadko byli ponoć wybornymi szachistami.

Inna, całkiem niezależna droga, wiodła poprzez Persję, kraje podbite przez Arabów (którzy przemianowali grę na szantranż, wzbogacając ją nowymi pomysłami) do Hiszpanii, Portugalii, a nieco później do Francji i Włoch. Za protektora szachów — choć nie jest to tak zupełnie pewne — uchodzi Karol Wielki, który miał otrzymać piękny komplet kunsztownie zdobionych figur w darze od samego Harun-ar-Raszida, grywali w szachy Czyngis-Chan i Tamerlan, zaś z meżów współczesnych — że przeskoczyły imy niedbale przez parę stuleci — do zapalnych graczy zalicza się Jerzy Putrament, który przez czas jakiś sprawował nawet funkcję prezesa Polskiego Związku Szachowego. Gdy było trzeba — jak opowiadali mi koleżdy z tegoż zarządu — Putrament szedł gdzie trzeba i krzyczał jak trzeba, przeważnie owocnie zresztą, co w biografii pi-

szarza zasługuje na oddzielną, zaszczytną wzmiankę. Między Tamerlanem a Putramentem zdarzyło się w świecie szachów jeszcze to i owo, choćby wspomniana już przed tygodniem, ciągnąca się do XVI stulecia wielka reforma gry, która pozwoliła zdynamizować przebieg walki, zatrzymując się równocześnie na trudnym do wyważenia progu komplikacji; jest to jednak temat tak złożony, że odłożymy go przynajmniej do drugiego semestru. Dziś natomiast zajmujemy się już jednym tylko niepozornym z postury cziowieczkiem, niejakim Napoleonem Bonaparte.

Napoleon był szachistą miernym, lubił jednak wygrywać i — co zabawne — zwłaszcza od czasu gdy z porucznika artylerii trawiało go w słynnym Café de la Regence wyawansował się na cesarza, wedle zgodnych świadectw współczesnych wygrywał nader często. Można by mniemać, że z latami podciągnął się w grze, zwłaszcza że wygłosił był jedno zdanie, które dziś również wraz ze stosownymi przykładami można śmiało zamieszczać w każdym szachowym podręczniku. Brzmi ono: „Ogień musi być skupiony na jednym punkcie i gdy tylko wyłot zostanie dokonany, równowaga zostaje złamana — reszta jest już bez znaczenia”.

Niestety cesarz nie chwycił głębi własnej myśli, odnosząc ją li tylko do sztuki prowadzenia wojny, w szachy grał nadal licho, miał jednak, do czasu przynajmniej, na tyle pomysłu, że wybierał — na polu bitwy również — najchętniej przeciwników jeszcze słabszych, w przypadku szachów związanych ponadto ze sobą rodzinnie bądź służbowo, stąd do jego ulubionych partnerów należeli cesarzowa Józefina, szwagier Murat, brat Ludwik i marszałek Ney, zaś na wyspie świętej Heleny — wierny generał Bertrand.

Znamy jednak partie, a nawet dysponujemy jej zapisem, którą Napoleon sromotnie przegrał, mimo iż był wówczas w pełni sławy i trząsał całą Europą. Zdarzyło się to w roku 1809 w zamku Schoenbrunn pod Wiedniem, gdzie cesarz zagrał łaskawie z „Turkiem” Kempelena, pomysłowym acz opartym na oszustwie automacie, w którym ukrywał się żywy i oczywiście silny szachista. Napoleon nie pojął jednak przestrogi, nie zrozumiał, że co innego ogrywać rodzinę bądź bić Austriaków, a co innego mierzyć się z mocnym partnerem, bądź wojować na prawdę w dalekim, ogromnym, a do tego mroźnym kraju. Wybrał się tedy pod Moskwę i tak zaczął się koniec jego świetnej kariery.

JERZY

4

Sport

Obyśmy zdrowi byli!

Pisanie dziś o sporcie nie jest czymś najłatwiejszym, bo i sport, jak wszystkie inne dziedziny życia, znalazł się w stanie ostrego kryzysu. Talentów sportowych nie brakuje, ale samym talentem dziś sukcesów się nie osiąga, potrzeba jeszcze sprzętu, warunków do treningu, zagranicznych wyjazdów. Temu i owemu to się udaje. Janusz Pečiak trenuje w San Antonio w stanie Teksas w USA, ale on już jest uznanym mistrzem i każdy go chętnie przygarnie, nawet na stałe.

Na stałe za granicę wybiera się coraz więcej młodych sportowców. Nasze kluby sportowe, cierpiące obecnie na chroniczny brak dotacji, a więc i gotówki, stały się mimo to, a może właśnie dlatego, wylegarnią talen-

tów dla klubów zagranicznych. Górnik Zabrze na przykład stał się kopalnią talentów dla Fortuny z Duesseldorfu. A nie jest to przypadek o osobnym.

Kluby borykają się z trudnościami, zawody są nudne. Coraz mniej ludzi na nie przychodzi, w kasach klubowych same długie. Szuka się więc różnych „pozasporthowych” sposobów zgarniania gotówki. Piast Gliwice przeprowadził podczas drugoligowego meczu w piłkę nożną... loterię fantową. Można było wygrać królika, a nawet — jak kto miał szczęście — koguta. Jak główną nagrodą fartowej loterii — jak to drzewie bywało — będzie prosie, na stadionie mogą być tłumy. Tylko co to będzie miało wspólnego ze sportem?

Trudności mamy nie tylko my. Jak donosi prasa konflikt brytyjsko-argentyński może spowodować zakłócenia w przebiegu Mistrzostw Świata w piłce nożnej, jakie już niedługo mają się odbyć w Hiszpanii. Jeśli do tego czasu konflikt argentyńsko-brytyjski nie zostanie pokojowo zalatwiony, a nie wiem, czy na to wygląda, to zespoli Anglii, Szkocij i Irlandii mogą nie wziąć udziału w Espanie 82. A to już byłby całkowi kłopot. Te pozornie dalekie kłopoty dotyczą i nas, bowiem nasi piłkarze też mają grać w Hiszpanii i kibice wiążą z tym niejakie nadzieje. Ja wolę być ostrożna z tymi nadziejami, widzę przecież, jak naszym fatalnie układają się mecze kontrolne z dobrymi przeciwnikami. Nikt jakoś dla nas nie ma czasu, a bez takich sprawdzianów możemy znów nie wyjść z formą na właściwy moment, czyli na same mistrzostwa.

W latach siedemdziesiątych przywykliśmy, że o sile naszego sportu decyduje sport wyczynowy, a najlepszym tego sprawdzianem są zawody międzynarodowe. Przywykliśmy, że sukcesy odnoszone na zagranicznych boiskach dobrze świadczą o tym, co dzieje się w krajowych klubach, ale wóbelki na dachach całej niemal Polski ćwierkały, że w krajowych klubach dzieje się źle, że funkcjonują lewe konta, że kupuje się mecze, nie prowadzi się właściwej pracy szkoleniowej, że zdarzają się konflikty między zawodnikami a trenerami, w których z zasady przegrywają trenerzy, że ci ostatni wędrują od klubu do klubu, nigdzie nie mogąc zagrzebać na dłuższą miarę. Wiadomo było, że jest kilku trenerów dyżurnych, których ściągają w sytuacjach, kiedy drużyna trzeba wyciągnąć z dna, a gdy to zrobią, zgębia się ich pod byle pretekstem. Pisałam zresztą o tym wielokroć.

Skutki tego stanu dopiero dziś możemy dostrzec w całej okazałości. Młodzież do sportu się nie garnie, ma inne zainteresowania, chętniej wybrałaby się „na saksy” „aby się dorobić”. Grzegorz Krzemiński w „Przebiegu Sportowym” narzeka, że co starsi zawodnicy judo powinni już pójść na emeryturę, ale zrobić im tego nie wolno, bo... nie ma następców. W innych dziedzinach sportu też nie jest lepiej.

Mogłabym w tym miejscu napisać: „a nie pisałam”, ale tego nie zrobię, bo ani to dla mnie satysfakcja, ani jakkolwiek pożytek z tego. A sprawa jest poważna. Opowiadano mi, że zaraz po wojnie, jak i w latach późniejszych, na przełomie czterdziestych i pięćdziesiątych, kiedy też było ciężko i kto wie czy nie ciężiej niż dziś, to akurat wtedy zaczęto rozwijać sport masowy. Organizowano biegi, marszo-biegi, spartakiady. Biegał, skakał, kto mógł, rzucano tym i owym, sprzętu najlepszego też nie było, ale chodziło o coś więcej niż wyniki i sukcesy. Chodziło o zdrowie narodu. I to się udało. Pobudzone młodych i starych do sportowego wysiłku, do sportowej rywalizacji. Później stawało się nam coraz lepiej, rosły aspiracje, chcieliśmy sukcesów na zewnątrz, mniej interesując się tym, co w sporcie działo się wewnątrz.

Czy dziś uda się odrodzić sport masowy i zadbać o nasze wspólne zdrowie, a zdrowie młodego pokolenia szczególnie? Sceptycy mówią, że wówczas było łatwiej, bo wówczas nie było telewizji. Czy mają rację?

BOGDA MADEJ

Miłość staropolska

Prezentowane dziś fragmenty książki ZBIGNIEWA KUCHOWICZA pochodzą z rozdziału noszącego tytuł: „ROLA URODY I CIAŁA”

Przez oczy wstydlive
Miłość zakryta żądze nam chwytła,
Ognie miecie żywe...

Z oczu herojny Wespazjana Kochowskiego bije promień „wskrosz dyamentowy”. Ceniono bystrość oczu, dostrzegano, iż mogą być także „na pół zdradliwie”. Rokokowi znawcy zczyli sobie widzieć u wymarzonej kobiety „oczy duże, żywe, czarne, miłe, lubieżne, figlarne”. O roli wzroku w miłości informowały nawet pisma religijne: w tłumaczonej żywcem św. Wincentego pouczano, iż ten święty trzymał straż nad swoimi oczami, „których nigdy nie śmiał wiepić w twarz niewieście, nie ufając najmniej swojej nocy ani zgrzybiałym łatom, wiedząc, że przez oczy pospolicie wdziierać się zwykły do serca ludzkiego szkodliwe imaginacje i afekty” (...)

Kanony piękności wymagały gładkiej, białej cery. „Białe ramiona”, „białość” panien opiewali poeci. Cera ciemna, a jeszcze do tego opalona, uważano za brzydki, gminny. Gorliwie stosowano wtedy rozmaite środki, które zapewniały właśnie ten walor. Zielniki wielokrotnie informowały, że taki czy inny odwar „piegi z twarzy... zmyły wszelkie, plamy i szkaradności spęda i ściera”. To wszakże nie wystarczyło, idealna piękność winna posiadać twarz o odcieniu jasnym, lilijowym, z tym, że koniecznie były rumieńce; twarz miała być „jak róża”. Jeszcze w czasach Rokoka wymagano, by piękność była „na twarzy z różą liliją”. Ponieważ niewiele niewiast mogło poszczycić się posiadaniem takiego zestawu kolorów, uciekano się znów do pomocy sztuki. Biedniejsze niewiasty po prostu szczypały się w policzki, by uzyskać ów różowy odcień, eleganckie korzystały zaś z bieleńd, później pudru, a także stosowały tzw. barwiczki, którą preparowano z rozmaitych korzeni, saletry, miodu, koziego mleka i innych ingrediencji.

Panowie nie byli tym zachwyceni. Podziwiali krasę policzek, wołali jednak, aby rumieńce były naturalne. Znano też fortele, przy pomocy których dawało się sprawdzić, która z niewiast jest naróżowana.

Piękna pani winna posiadać niewielki, prosty, kształtny nos. Jan Kochanowski chciał go widzieć „jako sznur upieczony”. Podobnie jak i polysku. Według kanonów urody kobiecej Odrodzenia i Baroku winny być długie, rozpuszczone, spływające na ramiona. Ideal piękności XVI-XVII w. stanowiły blondynki. Być może, pod wpływem Italii, gdzie blondynki są szczególnie cenione, gdyż jest ich mało. Piękna dziewczyna z naszych listowników nosi „złotą włosów koronę”. Jan Andrzej Morsztyn podziwiał włosy „długie, zółtawe, miękczynie do tego”. Wacław Potocki przyrównywał je do koloru bursztynu. Długie, jasne włosy spotykamy u dziewcząt w pieśniach ludowych.

Piękność blondynka stanowiła ideal literacki, który oddziaływał wszakże silnie na gust codzienny. Ponieważ nie wszystkie niewiasty były blondynkami i nie wszystkie posiadały gęste włosy, szukały więc pomocy w sztuce. Poradniki i zielniki szeroko informowały o sposobach, przy pomocy których osiągnąć jasny kolor włosów. Służyły do tego celu roślinne preparaty, m.in. maści zawierające korzeń celidonii, kmin i inne dodatki. Istniał pogląd, że bujność włosów uzyskuje się przez mycie w wodzie deszczowej, a nawet zwilżanie ich... pomyjami. Gdy nie pomagały te wszystkie sposoby, uciekano się do „szlukowania” fryzur: dołączano przemysłnie warkocze z innych włosów. Do końca XVII w. panny wszystkich stanów nosiły długie warkocze. W końcu tego stulecia szlachcianki zarzucają wszakże ten zwyczaj i większość z nich nosi krótkie włosy. Za ich przykładem poszła też część mieszczyzny. Wprowadzenie peruk zmniejszyło znaczenie posiadania własnych, pięknych włosów, niemniej eleganci rokocowi szczyli się naturalnymi.

W czasach Baroku przestano gustować wyłącznie w blondynkach. Ciemnowłosa była słynna Jadwiżka Łuszkowska, a także, jeszcze sławniejsza Marysińska Sobieska. Wiele uznanych piękności czasów stanisławowskich było szatynkami czy brunetkami. Nie słyszałem jednak, by lubiano rude. Niektóre damy, jak np. Helena Radziwiłłówna, ostentacyjnie prezentowały siwiznę, kontrastującą ze świeżą jeszcze cera. Wiadomo, że do schyłku XVIII w. gustowała w bujnych, jasnych włosach, siwizna oznaczała starość, nie była lubiana.

Erotyka europejska od czasów starożytnych przywiązywała wielką wagę do pięknych oczu. Wzrost oczu miał ujawniać uczucia miłosne, temperament, złożoność psychiki niewieściej. Wiele mówiło się na ten temat od czasów trubadurów. Oczy zakochanych miały być miejscem pierwszej potyczki z Amorem i drogą, po której miłość zstępuje do serca — jak to wykładały traktaty tudzież liczne kancony i sonety.

Motywy piękna i znaczenia wzroku w miłości występuje także w kulturze staropolskiej. Wskazują na to teksty listowników, poezja, pamiętniki i inne źródła. W wzorze listu z późnego średniowiecza czytamy, że „oczy ze słońca promieniami mkną w zawody”. W erotykach XVI stulecia mają one „blask gwiazd”. Motyw potęgi wzroku kochanki występuje w erotykach przypisywanych Sepowi Szarzyńskiemu. Szymon Zimorowicz pisał:

Zyczone sobie, by usta kryły równe, białe zęby. We wzorach listowników podziwiano „prześliczne zęby śnieżnej białości”, „zabki z kości słoniowej”. Jan Kochanowski opisywał usta „perły pełne”, inni poeci opisywali zęby „perłowe”, „czyste”. O Zofii Greczynce pisano, iż ma piękne usta, w których „blyszczą dwa rzędy ślicznych zabków”.

Zwracano uwagę także na szyję. Według Kochanowskiego miała być „pełna”, „okazała”. Chełchowski opiewał białą, „korałami upstrzoną”. Sarkano, jeśli ten szczegół nie przedstawiał się zbyt doskonale.

Wielką wagę przywiązywano do pięknych rąk, chodziło tu przede wszystkim o dłonie. Przez wszystkie stulecia zyczone sobie widzieć u pań niewielkie, smukłe, kształtne, białe dłonie. W listownikach wychwalano piękności, które mają „rączki drobniuchne, paluszek zgrabniuteńkie, a tak subtelne i miękkie w kształcie, iż przewyższają nawet złoto i drogocenne perły” (...)

Panujące przez wszystkie trzy wieki, szczególnie w XVII-XVIII stuleciu, gusty wymagały, by kobiety posiadały jak najwęższe talie, czyli kibicie. Metaforycznie zyczone sobie, by niewiasta była w pasie „jak łąka”, to jest lalka.

Ta moda powstała bez wątpienia na podłożu erotycznym, już od dawna zauważano, że na mężczyzn działa kontrast między wąskim stanem a szerokością bioder. O tym, iż kobieta szczupła w tali wzbudzała męskie „pokusy” świadczyła m.in. wypowiedź księdza Kitowicza. By przypodobać się mężczyznom, kobiety nosiły też obcisłe, sporządzone z fiszbin i innych materiałów gorsety, zwane wtedy sznurówkami, którymi ścisły się maksymalnie, czasem „aż do mdłości”, by tylko wydać się „subtelne” w pasie. Nawet wieśniaczki nosiły kształtujące talie gorsety — zakładały je wszakże tylko od święta. Eleganci ścisły się nimi codziennie, co wzbudzało wiele zastrzeżeń z punktu widzenia zdrowotnego, choć podobania się brała wszakże górę nad perswazjami (...)

Największą wagę przywiązywano wszakże do biustu. Na nim koncentrowały się taksujące spojrzenia mężczyźni, ten szczegół sylwetki najchętniej opiewali poeci. Wiadomo jednak, że piękne piersi podziwiano także w innych kulturach, przez wieki uosabiała one ideał doskonałości niewieściej. Pisano o nich już w „Pieśni nad pieśniami”. Grecy i Rzymianie cenili „piersi śnieżyste”, podziwiali je także Arabowie. Nawet średniowiecze eksponowało je w sztukach plastycznych (czyniono to m.in. pod pretekstem przedstawiania Matki Boskiej — Madonny karmiącej). Sztuka i literatura Odrodzenia oraz Baroku jeszcze chętniej i częściej sięgała do tego tematu.

Znaczenie piersi w estetyce i erotyce nie jest wszakże jednakowe. Warunkuje je wiele czynników. Temat podziwu i dociekań stanowiły przede wszystkim tam, gdzie obyczaj ubranio-wo nakazywały ich zasłanianie: w strefach, w których kobiety nosiły je stałe odkryte, nie czyniły już wrażenia. Istniały poglądy, że większe zainteresowanie wzbudzały w krajach romańskich i wschodnich, niż np. wśród Anglosasów. Niewątpliwie większą wagę przywiązywano do ich piękności wśród kręgów bardziej dworskich, dwornych, elitarnych, nawiązując właśnie

do antycznych wzorów, niżli wśród szerokiej kół, o czym jeszcze niżej.

Polskie obyczaje ubranio-wo nakazywały zakrywanie gorsu, traktowanego jako część zdecydowanie wstydlivą. W czasach Odrodzenia damy polskie — łącznie ze synonimami z urody i swobody obyczajowej Beatą Koscielińską i Barbarą Radziwiłłówną — kryją go sięgającymi szyi sukniemi. To samo czynią oczywiście niewiasty niższych stanów. Jak już pisałem, pod wpływem mody zachodniej w XVII w. następuje w tej dziedzinie istna rewolucja. Pojawiają się śmiałe dekoltosy noszone przede wszystkim przez arystokratki i mieszkanki dużych miast. Owe przepastne, prowokujące wycięcia pozostały w modzie do końca omawianej doby, wodząc na pokuszenie nawet świętoszek (...)

Mniejszą wagę do kształtności piersi i w ogóle do ich roli w erotyce przywiązywano w kulturze ludowej. Wiemy, że ceniono tam przede wszystkim ich wielkość; hajduków zachwycali „cycki”, które przyrównywali do bebnów. Wiele jednak na ten temat nie mówiono. Folklorystycznie słusznie zauważają, że dla oracza czy hodowcy piersi nie były „siedliskiem miłości”. Ich zasadniczą funkcją jest karmienie, stąd też erotyk ludowy raczej nie wspomina o piersiach ukochanej. Ten obojętny stosunek nie stanowił specyfiki naszego folkloru. Np. w XVIII w. opierający swą twórczość na szkockich utworach ludowych Burns w swoich rubasznych utworach celebrował inne okrągłości kobiece, piersi jednak ignorował.

W kulturze ludowej zasadniczo zainteresowanie kierowano ku najbardziej intymnej partii anatomicznej. Piosenki, zagadki, metafory wiele mówiły na temat już to „kozmatego ciała”, już „łaczki” czy „rodła, które „poilo konika”. Dopiero „łaczka” świadczyć miała o uroku kobiecej.

Folklor szedł w tym względzie dalej, niż literatura piękna, poeci uznani przez dłuższy czas nie podnosili w ogóle tego tematu uważając, że opisywanie „zakrytych platków” nie jest rzeczą godną. Mówiono o nich przeważnie tylko w utworach obscenicznych, np. Daniel Naborowski. Ten w wierszu „Smaczny kasek” pisał:

Nadobna stopa, piękna i kolano,
Ale kiedy by wyżej ukazono,
Jest tam jeszcze coś w porządku trzeciego,
Nad co na świecie nic foremniejszego.

(...) Wytłomnie i filuternie wypowiadał się na temat „skrytej cząstki” Stanisław Trembecki. Okolicę, które wiodły do „siedliska miłości” opisywano w poufnych, skandalizujących pamiętnikach czy w korespondencji. W ogóle jednak nasze piśmiennictwo w przeciwieństwie do zachodniego wypowiadało się na ten temat rzadko i dyskretnie. Podobnie miała się rzecz z opisami piersi, bioder, pośladków. Helleńscy artyści swobodnie tworzyli swe słynne Afrodyty Kallipygos, czyli „pięknotyły”, urządzano nawet konkursy, która z niewiast winno się poszczycić tytułem najpiękniejszej. Średniowiecze uważało jednak ten rejon za nieprzyzwoity, w opisach urody zatrzymywano się na pasie. W listowniku z XV w. czytamy: „o tym, co niżej zamieszają już bowiem nie godzi się niżej zstępować”. W wiekach następnych sztuka zachodnioeuropejska ukazywała piękno tych części ciała. Można tu powołać się m.in. na płótna Velazqueza, Rubensa, liczne sztuki. Rokoko wręcz delectowała się tymi częściami, ikonografia przedstawiała je w pikantnych sytuacjach, podobnie literatura.

W Polsce tego rodzaju tematyka nie cieszyła się uznaniem. Wybitni poeci mieli na te sprawy poglądy „średniowieczne”. Nawet frywolna literatura rokocowa koncentruje swoją uwagę na frontalnych częściach niewieściego ciała, wyjątkowo tylko wspomina się o gładkości piersi czy niższych rejonów.

Jest rzeczą znaną, że w obyczajach codziennych uważano ten rejon nie tyle za wstydlivy, co po prostu nieciekawy nawet w aspekcie pikanterii erotycznej. Słyszymy o kobiecicach płacących dziewczkom za pokazywanie przez nie „wdzięków frontalnych”, ukazanie „awersu” traktowano głównie jako żart, akt ośmieszenia. Nawet swobodne damy rokocowe, opisując swój wygląd, posiadane wdzięki, przemilczają te partie.

Wiemy, iż powszechnie przywiązywano wagę do twardości, ściśle jędrności „wdzięków”. W poufnych korespondencjach nadmieniano o „jędrnych piersiach i pośladkach”. Pieśni ludowe głosiły, jak to Małgorzata Wybila biustem cztery zęby Fryckowił O Pani Grabowskiej powiadano, że miała pierś „jak z marmuru”. W jednym z utworów rokocowych podstarzała pasterka „przeklęta Teodora, że ją uwiódł pieścić, póki ciało jej jędrniejszym było, a teraz z ustającą czerstwością ustają i jego miłośniki”. Nie bawiąc się w konwenanse generałowa Kwilecka-Fiszserowa w swym pamiętniku wspomina urodę swej matki: „Ciała jej o nieskazitelnym rysie miało jędrność i białosć kararyjskiego marmuru; biust, ręce misterne, wydłużone paluszeki, zgrabna nóżka, tak cienka w kostce, że nie wiedzieć, jak mogła unieść ciężar ciała, wszystko, jednym słowem, co ukazywała oczom, godne było najwybredniejszego rzeźbiarza. Ja sama, choć przyzwyczajona do współżycia z nią, byłam uderzona jej widokiem, kiedy swobodnie zajęta była janną tualetą. Młodzieńcy, których rój ją otaczał, pozerali ją wzrokiem (...)”.

Obowiązujące u nas wzory kultury powodują, że wspomniane rozważania i opisy, jak również pochwały, wypowiedziane są na ogół można rzec prywatnie, poufnie, w rękopismach wierszach, fraszkach, podczas toczonych rozmów. Oficjalnie przyjmowano, że ciało jest czymś mimo wszystko nieprzyzwoitym, grzesznym. W takich tekstach ze świecą szukać zachwytów wyłącznie estetycznych, ciało kobiece widziano wyłącznie w kontekście „łóżka”. A w ogóle w naszej literaturze nie znajdziemy sformułowania przypominającego tamto ze słynnego wiersza Johna Donna: „Naga jest cudna, a przy tym niewinna”. Naga — częściej powiadało: goła — znaczyła właśnie zęgnającą niewinność, gotowa do „grzechu”. W nagości nie dostrzegano piękna absolutnego, nie wymagającego strojnych szat — jak widzieli jej poeci i artyści wielu kultur — lecz jedynie urodę bezwstydną, kuszącą do grzechu. Nagości nie potrafiono oddzielić od seksu (...)



Rys. Maja Berezowska